



PISMO TYGODNIOWE ILUSTROWANE DLA KOBIET.

Prenumerata w Warszawie:

We wszystkich księgarniach i kantorach pism periodycznych po cenie rocznie rsr. 7 kop. 20; półrocznie rsr. 3 kop. 60; kwartalnie rsr. 1 kop. 80; miesięcznie kop. 60.

Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:

kwartalnie rsr. 2 kop. 50; półrocznie rsr. 5, rocznie rs. 10.

Wydawca **MICHAŁ GLÜCKSBURG**

EKSPEDYCJA GŁÓWNA W KSIĘGARNI WYDAWCY

Ulica Włodzimierska Nr. 4.

W Cesarstwie Austriackim we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwartalnie flor. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 80.

W Krakowie: u D. E. Friedleina; kwartal. flor. 2 cent. 75 na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50.

W W. Ks. Poznańskim: u Leitgebera i Spół. kwartal. 5 marek.

KOBIETA I MIŁOŚĆ

w lirykach El-go.

(SZKIC ESTETYCZNO-LITERACKI).

Należy Asnyk bezwątpienia do niewielu u nas, zarówno jak i w literaturze wszechświatowej, poetów lirycznych, u których uczucie nie wylewa się z piersi z żywiołową, niemal siłą rwących strumieni, lecz sączy się i precedza przez filtr głębokiej refleksyi. Jest to charakterystyczną cechą organizacyi psychicznej naszego poety, że uczucie, choćby najgłębsze i najżywsze, nie opanowuje wszechwładnie całej jego istoty, nie staje się siłą w jego piersi ślepą i dominującą, lecz podlega zawsze rozwadze, subtelnej i wszechstronnej, która prześwieśla to uczucie i moduluje. Jest to dar u poetów — u liryków szczególnie — nader rzadki, dar dający im możność nie poddawania się fali subiektywnych uniesień, lecz przeciwnie — spokojnego zapanowania nad niemi, lub przynajmniej zachowania w obec nich roli krytycznego obiektywizmu. Dzięki temu darowi poeta-liryk, opiewający ból i radości własnego serca lub też uczucia milionów, wznosi się już na wyższe stanowisko duchowe i staje się z piewcy — filozofem i myślicielem, którego wzrok głęboki zanurza się w sferę pierwszorzędnych zagadnień duchowych człowieczeństwa. — Takie właśnie wysokie stanowisko w poezyi naszej zajmuje Asnyk.

Następcza się tu ważna dla przedmiotu naszego kwestya: zachodzi mianowicie pytanie, o ile ta zdolność refleksyjna — z natury już swej wro-

ga wszelkim samorodnym popędem serca — wpływa na rozwój, spotęgowanie się i przebieg uczucia, podpadającego destrukcyjnemu jej działaniu?... Sądzę, że mniemanie o zabójczej dla uczucia potędze rozważki jest conajmniej przesadzone. — Że chłodna, spokojna refleksya, skierowana ku rodzącemu się w piersi naszej uczuciu, nie podsycza go zazwyczaj, lecz przeciwnie — ostudza je nieraz i wyziębia — o tem ła two może przekonać się każdy, kto zechce rozrzeć się uważniej w procesach uczuciowych swej duszy. Mianowicie działa ujemnie rozważka na gwałtowne przybieranie fali uczuciowej w sercu naszym, na jej szerokość i napięcie; następnie, jeżeli refleksya nie potępi zgoła rodzącego się uczucia, jeśli je niejako w naszym sercu uprawni — wówczas działanie jej wywierać zaczyna nawet dobroczynny wpływ na uczucie: unormuje je, rozjaśni, ku właściwemu skieruje celowi, — a w potrzebie nawet podeprze je lub doda moralnego bodźca do dalszego rozwoju. Tylko uczucie zawczasu potępione i uznane przez się za nielegalne lub też nieuzasadnione refleksya zabija i niszczy.

Parę powyższych uwag o istocie refleksyi i jej wpływie na uczucie były niezbędnymi dla zrozumienia wniosków, jakie wyciągnęliśmy z przeglądu liryk Asnyka co do zapatrywania się poety na miłość i kobietę. Odczytując poezye liryczne El-go łatwo zauważymy ten podwójny charakter ich treści, owo doskonale zharmonizowanie pierwiastku uczuciowego z refleksyjnym, które stanowi urok czarodziejski liryk poety.

Oto mamy przed sobą tom III najnowszego wydania pism El-go, zawierający jego poezye uczuciowe na gruncie erotycznym. Są tu wiersze, w których poeta opiewa istotę i potęgę miłości, oraz znaczenie tego uczucia w sercu ludzkim i we wszechświecie; są inne, w których przewija się przed nami barwna girlanda typów

i wzorków niewieścich, dziewczęcych, różnych co do wykończenia i wartości wewnętrznej; są i takie wreszcie, w których dźwięczy echo własnych uczuć poety, przesączonych prawie zawsze przez filtr refleksyi. Przegląd nasz rozpoznaniemy od utworów pierwszej kategorii i postaramy się zapoznać czytelników z sądem Asnyka o miłości wogóle.

W wierszu „Miłość jak słońce“ przyrównywa poeta życiodajną, ożywiającą potęgę miłości do równie cudotwórczego wpływu słońca, jaki wywiera ono swoim blaskiem i ciepłem na całe przyrodzenie. Miłość — mówi poeta — podobnie jak słońce „ogrzewa świat cały i swoim blaskiem ożywia różnym;“ zaznacza następnie życiotwórczą potęgę słońca, które promieniami swemi po całym ziemi obszarze, nawet w przepaściach i na skalach, wywołuje do życia roślinność młodą: „i wyprowadza z martwych głazów łona coraz to nowe na przyszłość nasiona.“ W drugiej strofie wskazuje poeta na inne podobieństwo miłości do słońca, mianowicie na jego działanie upiększające wszystko, na czemkolwiek spoczna jego promienie: słońce „żywe piękności wydobywa z ziemi,“ zaś miłość dobywa piękno „z serca natury i z serca człowieka.“ Słońce wywołuje burze, skupia chmury, przynoszące gromy ze sobą, — lecz zarazem rozpina barwną tęczę na wyplakanych chmurach i znowu wylęca błękit po burzy; miłość również sprowadza nieraz nawałnice na serce i gromy, ale za to jakież cudne tęcze uczuć rozwiesza nad duszą i jak słodkim nakrywa ją błękitem!... W końcu smętne, lecz drogie wspomnienia, jakie pozostawia po sobie miłość w sercu, poeta przyrównywa do „blasków srebrnego miesiąca,“ będących dalekiem i słabem odbiciem słońca.

Trudno chyba o lepsze porównanie młodzieńczej doby człowieka, niż porównanie jej do wiosny w przyrodzie. Młodość — jest dobą miłości w sercu ludzkim, wiosną — będącą przebudze-

niem i rozkwitem wszystkich sił i potęg stworzenia, uśpionych snem lodowatym przez zimę, — jest również dobą miłości w przyrodzie. Jasne, ciepłe promienie wiosennego słońca, zielonejące się drzewa i pola, szmer słodki zefiru, woń kwiatów i ziół — wszystko to wytwarza jakąś atmosferę odurzającą i rozkoszną, w której pierwiastki miłości zdają się być rozlane niemal panteistycznie. Jak łatwo wówczas i serce człowieka przejmują się tym nieokreślonym czarownym nastrojem dziwnych pragnień, zachwyków, uniesień!... Zda się, że miłość i rozkosz falą z przyrody przelewa się do serca człowieka:

„Patrz oto wiosna znów
Najsłodsze niesie ci tchnienia
I czoło twoje ocienia
Więcem kwitnących bzów.
Czy czujesz w niemych zachwycie
Wdzięk nowy i nowe życie?
O luba, mów!...“

Dokoła brzmi jakiś nieuchwytny, czarowny śpiew, — wietrzyk szeleści pośród liści i całuje rozwijające się kwiaty; poeta wsłuchuje się w melodyjną ciszę — i pyta: „słyszysz, w tej cichej godzinie harmonię, co w serca płynie z naziemskich stref?...“

I kojąc ludzkie boleści
Przynosi w sennej powieści
Najtkliwszych uczuć siew?“

Serce — upojone rozkoszą, płynącą z falą powietrza — pełne miłosnej słodyczy z podziału uczuć, — dostrzega w zachwycie piękności przyrodzenia, ukryte zwykle przed wzrokiem obojętnym i chłodnym: w blasku promieni, w grze światła i tęczy dostrzega ono „wiecznej piękności cud,“ będący słabem odbiciem wszechpiękności Bożej. Tak więc miłość odkrywa oczy na niewidzialne dotąd piękności we wszechświecie, czyni serce zdolnym do wrażeń i zachwyków, idących „z naziemskich stref,“ podnosi estetyczną i moralną wrażliwość człowieka do idealnych wyżyn, niedostępnych sercom wyziębionym z miłości i zimnym. Miłość osobista jest — według Asnyka — tylko szczeblem do wyższej miłości, która ogarnia w swe ramiona wszechświat cały.

Również panteistycznie rozlany w przyrodzie pierwiastek piękna i miłości mamy w wierszu „Różowa chwilka.“ Tu widzimy wzajemne oddziaływanie na się przyrody i człowieka: przyroda roztacza hojną dłoń skarby swych piękności przed sercem, które, upojone miłością i pełne wewnętrznego szczęścia, powleka nawzajem pierś otaczającej natury barwą tęczy swych marzeń; jest to głęboki, a tak dobrze każdemu z nas znany objaw psychologiczny, polegający na tem, że zazwyczaj bezwiednie nadajemy otaczającej nas przyrodzie ton i barwę wewnętrznego naszego nastroju. Tu wszakże mamy spotęgowane wrażenie piękności i szczęścia, przez doskonałe zharmonizowanie pysznie rozkwitniętej, wiosennej natury z upojonym miłością sercem. Wszystko dlań jest tu pięknem i czarownem: „pięknym jest ten gaj,“ który wiosna ustroiła w świeżą zieloność; „piękną jest jeziora toń,“ na której rozlewa się powódź słonecznego światła; „pięknym jest świeży maj,“ co roznosi woń rozkwitniętych kwiatów; „piękny jest złoty dzień, piękną noc srebrna na błękitnym tle...“

„Piękny słońca wschód
I rumieniec zórz:
Świat, jak jeden cud,
Piękny wszsz i wzdłuż!
Szczęście, rozkosz tu,
Szczęście, rozkosz tam!
Piersi braknie tchu
Czerpać zachwyt sam...“

Wszystko — zda się — ma pozór szczęśliwy i uśmiechnięty: słodko szumi las i wiatru pieśń jest dziwnie uroczą i słodką; drzewa „szczęściem drżą“ — i, zda się, pragnęłyby ruszyć się —

ić i płaszać... A tymczasem z poza drzew, z poza krzaków bzu, z poza jaśminu słychać ciągle szept: „Ona kocha cię...“

„Kocha“ — pluszcze staw,
„Kocha“ — szemrze zdrój,
„Kocha“ — brzęczy z traw
Złoty muszek rój.
„Kocha“ — słówkiem tem
Ziemia wkoło brzmi...“

Dziwną bo zaprawdę, cudowną moc mają te słowa: „kocham cię!“ Oto widzimy cudotwórczą ich potęgę w wierszu, zatytułowanym „Ja ciebie kocham.“ Na te słowa czuje poeta, jak w jego sercu zmartwychwstaje młoda — świeża — uroczą wiosna, budzi się życie nowe. Nie wierzyłby tym słowom, lecz o ich prawdzie przekonywa go cudowne przeobrażenie w jego sercu; wierzy więc — „bo jasną widzę zorzę i pierzchającą widzę noc, i wszystko we mnie inne, świeże! zwątpienia w sercu stopniał lód, i znowu pragnę — kocham — wierzę — wierzę w miłości wieczny cud!“ Od tych słów miłosnego wyznania „świat się zmienia i szczęściem zakwita“ mówi poeta — i jest to prawdą względnie do szczęśliwego kochanka, w nim bowiem w istocie zakwita kwiat szczęścia i stan wewnętrzny się odmienna. Nie dziw, że mu się zdaje, jakoby świat „jak w pierwszych dniach stworzenia przybierał ślubną szatę znów“ — zaś dusza dostaje znów skrzydeł i ulatuje w jakąś krainę świetlaną i błogą.

Widzimy więc tedy, że — podług Asnyka — miłość jest uczuciem wszechpotężnym i podniosłym, które jest zdolne tworzyć cuda ofiarności i poświęcenia. Porywa ono serce człowieka po nad poziomy, odkrywa przed nim rozległe, niewidzialne dotąd widnokreśli duchowe, uszlachetnia je i zapala ku czynom wielkim i pięknym. W miłości osobistej mężczyzny ku kobiecie uczucie to stoi na pierwszym stopniu swego rozwoju; jest to stopień najniższy, ale też najniezbędniejszy, przeszedłszy go bowiem dopiero uczucie podnosi się w coraz wyższe sfery duchowe — ogarnia świat cały — dążąc ku źródłu wszelkiej miłości — ku Bogu. Te wysokie myśli o istocie i zadaniu miłości widzimy rozwinięte przez El-ego w wierszu p. t. „Oda.“ Aby się wznieść do takiego pojęcia miłości, trzeba zaiste mieć serce szlachetne i wielkie, a takim właśnie było serce Asnyka.

Przyjrzyjmy się teraz istocie, która winna rozdmuchiwać i rozżarzać to wielkie uczucie w sercu mężczyzny — przyjrzyjmy się kobiecie, o ile znalazła ona sobie wyraz estetyczny w lirykach El-ego. Przesuwa się oto przed nami cała girlanda postaci niewieścich — bardzo różnych co do moralnego poziomu i co do rysów indywidualnych, — poczynawszy od naiwnego wiejskiego dziewczęcia, któreby pragnęło „po brzoź zwieszonych gałązkach płaszać, z listków zielonych rosę otrząsać“ — aż do damy wielkoświatowej, królującej na balu. Wybierzemy z pośród nich tylko parę postaci najbardziej charakterystycznych i bliżej się im przyjrzyjmy.

W wierszu: „Przebudzona“ na tle różanego majowego poranku maluje nam poeta leciuchną sylwetkę uroczego wiejskiego dziewczęcia. Przebudzona wczesnym rankiem blaskiem wesołego słońca, które spoziera przez szyby okienka do jej chatki — śpiewem ptaszek, witających poranek, — wonią kwiatów z łąk i ogródka wybiega z chaty na ten precudny świat Boży, w którym wszystko ją upaja i zachwyca. Czuje, że wraz z tym majowym porankiem, w jej sercu „coś się zbudziło,“ jakieś nieznane dotąd, nieokreślone zachcenia powstają w niem, a pierś podnosi się „niby nadzieją, niby rozkoszą.“ Jakiś dziwny nieokreślony niepokój, jakieś niby oczekiwanie czegoś nieznanego a upragnionego drażni ją ciągle; nie wie sama, co to jest — i wyznaje przed sobą: „lecz najwyraźniej nie wiem co żądam.“

Ten dziwny stan jej duszy, ta żywa wesołość przejawia się w dziwnych zachceniach: pragnęłyby dziewczyna „lecieć i nucić jako ptaszyn; pragnęłyby przemienić się w rybkę i tonąć

w lazurowej fali, albo wreszcie zakwitnąć różą, tak piękną i pachnącą — by wszystkie kwiaty gasły i nikły,“ a mały słowik, ukryty w lasku, aby jej tylko „śpiewał pochwały jedynie.“ Dziewczę snuje dalej swe marzenia: pragnęłyby oto znaleźć ów pierścien złoty, posiadający własność cudowną przemieniania ludzi „w nadzwyczajne kształty,“ oraz spełniania „wszystkich tajnych życzeń.“ Lecz najgoręcej pragnęłyby dziewczyna znaleźć „coś — co by kochała“ — człowieka czy też anioła, który ją zdala w snach woła, chciałaby podać mu serdecznie rączki obie i słodko marzyć przy nim, patrząc w kochające jego oczy — i wraz z nim

„Całą jasność
I piękność ziemi
Zabrać na własność
Sercami swemi...“

Jest to sympatyczny nadzwyczaj obrazek rozkwitającej dla życia i szczęścia dziewczyny, naszkicowany subtelnie i wdzięcznie, przypominający delikatnością rysów i kolorytu lekkie i wdzięczne obrazki Lenartowicza.

Pierwociny uczucia rodzącego się w sercu dziewczęciem widzimy w wierszu „Bławatek.“ Nie uświadamia jeszcze sobie wyraźnie tego uczucia dziewczyna, ani nazywa go właściwym imieniem; czuje w serduszkach coś nakszałt rozżalenia na chłopca, który „niedawno wyrwał jej z ręki zerwany w polu bławatek“ i przypiął go sobie do piersi, a gdy ona żaliła się na to, jeszcze z niej żartował „chłopiec niedobry“ mówiąc że „ma ochotę ukraść coś więcej.“ Miło jej jednak przypominać sobie słowa niedobrego chłopca, że jej oczy piękniejsze, niżli ten kwiatek polny, że chce „pić rosę z bławatków, a z oczów jej łezki.“ Straszyl nawet, że ją rodzicom ukradnie... tu dziewczę chciałoby się gniewać bardzo, — nie widzieć już nawet go więcej... czuje jednak, że to byłoby „trudno“ — i jej samej bez niego „byłoby nudno“ i gorzej, niż nudno — bo smutno i tęskno. Musi go jednak za wszystko ukarać i wie już co zrobi: „będę umyślnie płakała — niech łezki pije!...“ Są to — jak widzimy — pierwsze zaledwie przejawy budzącego się uczucia, naszkicowane delikatnie i wdzięcznie; rozkwit zaś miłości w sercu dziewczęciem widzimy w wierszu „Lilie wodne.“ Po przejrzystym lazurze jeziora, w spokojny wieczór letni, sunie się cicho lódz, na której płyną chłopiec i dziewczyna. Na jasnej tafli wód wykwitają srebrne lilie; dziewczę, pochylając rozmarzoną główkę, pyta, młodziana o czym marzą te lilie wodne? Czy jak duchy pokutne nowe biorą życie w śnie kwiecistym? Czy służą za dyadem utopionej w jeziorze królownie? Czy są może odbiciem „ludzkich tęsknot wiecznej tajemnicy“ i sen je kołysze „echem naszych pragnień i boleści?...“ Młodzieniec odpowiada jej na to, że przecież w ich piersiach tyle uczuć teraz kwitnie, a niewiadomo, „gdzie biegną promienne,“ że oni związani z ziemią łańcuchem — nie wiedzą przecie sami „dokąd płyną duchem“ — tylko mają świadomość, że „w ciągłej pogoni za marą piękności bezwzględnej“ rozsiewają dokoła wonne kwiaty uczucia, i że w każdym z tych kwiatów zostawiają „jakąś myśl po sobie.“ Dziewczę mówi, że się lęka przyszłości nieznanej; chciała by powstrzymać swe życie w biegu i zakwitnąć taką lilią białą na jeziorze, aby „nie ponieść żadnej serca straty, lecz tak zwiędnąć, jako wiedną kwiaty.“ Lęka się ona „utrącić rajskich marzeń jasność“ w przyszłości; wolałaby raczej umrzeć w chwili szczęścia „i twą miłość wzięść z sobą na własność i być pewną, że nic się nie zmieni w blasku naszych wewnętrznych promieni.“ Uspokaja jej trwogę młodzieniec, mówiąc, że dla nich, dla ich serc już żadna z tych chwil szczęścia nie zginie:

„Myśmy naprzód już w miłości naszej
Zaczerpnęli nieśmiertelne życie;
I możemy iść dalej bezpieczni,
Że się sen nasz za światem uwieczni...“

W wierszu tym widzimy więc najprzód głęboką miłość dziewczyny ku ukochanemu, której

nic już z jej serca nie wydrze. Następnie porusza Asnyk tajemnicze zagadnienie ducha ludzkiego, czy i o ile uczucia na sze są trwałe i wieczne?—i odpowiada na to pytanie twierdząco, wiarą w nieśmiertelność naszych uczuć najdroższych, jako kwiatów niewiedzących nieśmiertelnego ducha ludzkiego. Do takich wniosków doprowadza poetę własne uczucie jego serca oraz głęboka refleksja nad istotą miłości i nad losem i duszą człowieka.

St. Ostrowski.

(Dokończenie nastąpi).

Kazimierz Gliński.

KRZYWDA

POWIEŚĆ.

(Dokończenie).

W tej chwili wielkiej tragedii ktoś odbiegł od okna mieszkania Maryni i skokiem sarny do dworu wpadł. Pani Karolina szybkim krokiem chodziła po swoim pokoju, gdy dały się słyszeć kroki czyjeś... Do buduaru pani z piersią dyszącą, mogącą za ledwie dech chwycić, wbiegła Maryanna...

— Co tam się stało? — zapytała Grudowska.

— Umarła!—zawołała pokojówka.

— Ha!—wybiegło z ust pani Karoliny.

I stała chwilę z oczyma błyszczącymi, z rozdętymi nozdrzami, z pół otwartymi ustami, straszna i groźna, a myśl jej biegła tam, gdzie brzmiały skargi i jęki, gdzie z piersi syna głuchy wypadał ryk, a oczy tu się zwracały, a z ust stłumiony szepł płynął:

— O, matko!...

Pani Karolina ocknęła się, jakby przerażona tem wołaniem.

— Maryanno!—zawołała nagle.— Zbierz moje rzeczy, każ konie zaprzęgać, wyjeżdżać musisz do Grudowa, zaraz, natychmiast!

Maryanna wybiegła z rozkazem.

— Jak ty szybko myśl w czyn przemieniasz!—zwróciła się Grudowska do portretu królowej.

Pakowano rzeczy z pośpiechem ogromnym, jakby się dach palił nad głową, lub ściany domu tego za chwilę zawalić się miały. Pani Karolina, którą zawsze w każdej wyręczano czynności, wysuwała sama kufry, układała potrzebniejsze ubrania, a robiła to wszystko z piersią dyszącą, z nerwowymi ruchami rąk i palców.

— Śpiesz, Maryanno, śpiesz, śpiesz, śpiesz!—powtarzała gorączkowo.

I biegała z kąta w kąt, od przedmiotu do przedmiotu.

W czynnościach tych były widoczne trwoga i pośpiech. Niech wiatr zaszumi, drzwi skrzypną lub w kurytarzu wzier jaki odezwie się, na czoło Grudowskiej występują wnet krople zimnego potu, przejmując ją strach, by w tym szmerze nie posłyszeć kroków syna, z którym dziś, w chwili obecnej nie chciałyby się zmierzyć oko w oko.

Z ogromnym więc pośpiechem i z ogromnem mileniem wynoszono rzeczy i ładowano na sarnie, wynajęte na wsi. Ten pośpiech i tajemniczość wyjazdu miały dla pani Karoliny jakiś urok tragiczny; strach zmieszany z radością tryumfu podniecał ją, jakby w tej chwili ważyły się losy świata, zakreślone jej ręką. I nie lękała się widma, które snuło się przed nią i za nią i wypierało z ciemnej kurytarza szyi, widma, które opuściło ramy portretu i zachodziło jej drogę wyraźne, dotykalne prawie.

— Katarzyno!—parę razy wypadło z ust Grudowskiej wołanie, gdy do Maryanny się zwracała.

— Ach! co ja mówię—poprawiała się.— Słuchaj Katarzyno—powtarzała znowu, a gdy Maryanna zdziwione spojrzenie zwracała na nią, milkła, przykładając dłoń do czoła i wzrok błędny kierowała tam, gdzie plątały się liście palm, albo się wily o skrętach węzowych kaktusy stuletnie. Ta noc, ta cisza, to opuszczenie pośpieszne od lat tylu zamieszkanego siedziby, ostrożne kroki służby i ten wzrok pani, zatrzymujący się co chwila to tu, to tam—przejmowały Maryannę bojaźnią niewytłumaczoną, ciarki przebiegały jej po skórze, oglądała się za siebie, a gdy Grudowska zapatrzyła się dłużej w ciemny kąt jakiś, pytała szeptem:

— Co pani tam widzi?...

— Ja?... nic!—opamiętywała się pani Karolina.— Czy już kufry gotowe, portrety zdjęte?—pytała.

— Tak pani,—proszę obejrzeć się.

— Pusto!—szepnęła pani Karolina.

W pokojach i kurytarzach drzwi wszystkie stały otworem, więc swobodnie wiatr hulał, czasem zasyczał dziko i zawył przeciągle. Pełgały płomienie lamp, z cichym szmerem chwiały się firanki, u okien zostawione i ciężkie portyery, których zdjąć nie było można.

Okolo północy karetą Grudowskiej wyjeżdżała z dziedzińca dworu pana Hipolita; śnieg ziemię przysypał obficie, więc posuwała się cicho, bez żadnego szelestu niemal i szmeru. Przejeżdżając koło zabudowań folwarcznych, pani Karolina zwróciła oczy na widniejący zdale dom Sochackich. We wszystkich oknach paliły się światła, błąkały się cienie jakiegoś, słyhać było krzyk dzieci i czyjś płacz nieutulony i jęki boleści.

— Stało się!—szepnęła drżącymi ustami matka Henryka.— Gina jedni, by inni żyli!...

A wychylając się z powozu, odezwiała się do stangreta:

— Śpiesz!

Trzask bata wśród ciszy nocnej rozlegał się głucho, konie wyciągniętym szły kłusem, a przy naglane, galopem pełnym ruszyły.

Ta noc, oświetlona tylko gwiazd bladym połyskiem, ten szmer tajemniczy szybko sunących się sani i krótki, głuchy, rwący się łoskot kopyt końskich, w rozpalonym mózgu pani Karoliny przybierały dźwięki dziwne i wywoływały niewidziane wcale obrazy.

Zrazu jej się wydało, że słyszy daleki szum morza, że czuje łoskot fal, które ze wszystkich stron płyną i zalewają ją zewsząd. Powoli z tych szumów zaczęły się wydobywać głucho jęki dzwonów, na wód powierzchnię wypłynął katafalk, na którym, wśród świec, patrzących jakimś krwawymi oczyma, leżał blady trup Maryni, a u stóp jej wyl się w mękach śmiertelnych Hipolit. Ale powoli obraz zbladł i w głąb się usunął, a dziwnie jarzącym światłem zajaśniały marmurowe komnaty pałacu Grudowskich. W strojach wspaniałych, z podniesionymi dumnie czołami, szły pary za parami; Henryk wzniesioną prawicą rozrzucił róże złote, tłum bił oklaski, a Tosia szła przy mężu, osypana deszczem brylantów, prowadząc za rączkę pachole przesłeczne.

„Mój syn!“—mówił Henryk.

„Jego syn!“—powtarzały tłumy.

„Pan na Grudowie, Dziadyszkach, Górkach i Piaskach“—rozlegały się szepty.

— Śpiesz!—wołała pani Karolina, wychylając się przez okno karety.

Noc była ciemna, konie rwały z kopyta, pędząc do siedziby pana Henryka.

Pałac leżał pogrążony w ciemności i ciszy, słabe tylko światło migało w pokoju Henryka i oranżeryi, oddalonej od gabinetu pana całą długością budynku. Nie chcąc niepokoić mieszkańców grudowskiego dworu, pani Karolina kazała zatrzymać się stangretowi przed bramą wjazdową i bocznymi drzwiami, które otwierały się wiadomym tylko sposobem, a do oranżeryi wiodły, weszła do wnętrza. Przechodząc przez jedną z sal, znajdujących się blisko cieplarni, usłyszała szelest między drzewami cytrynowymi jakby ktoś liśmi potrafił.

Ktoś tam był.

Przestąpiła próg oranżeryi i owiał ją chłód niebывały w tym przybytku barw, woni i ciepła: Grudowska powiodła dokoła zdumionymi oczyma. W jednym kątku spostrzegła zerwaną ławkę i stłuczonych wazonów kilka, szyby w oknach były porozbijane, przez nie wiał wiatr, gałęzi drzew kołysał i strącał biały puch kwiecista. Duża gałąź kameli napół rozkwitłej wieszła się ku dołowi boleśnie, od pnia oddarta; piaskiem w tem miejscu wysypana podłoga skopana była,—jakieś strzępy walały się na ziemi, zmięte okrutnie i okrutnie stargane.

Wiedziona złem przeczcuciem, pani Karolina wbiegła na kurytarz i z bijącym sercem szła szybko do pokoju syna.

Nagle przed nią, w słabo oświetlonej przez migocący blask lampy szyi kurytarza zamajaczył cień jakiś...

Grudowska podeszła szybko i—zatrzymała się. To stała Tosia—na twarzy jej był wryty przestach, oczy szeroko rozwarte patrzyły w drzwi gabinetu męża.

Pani Karolina za rękę ją chwyciła.

— Co tak stoisz? dla czegoś taka blada?

— Cicho... pst!...—odezwiała się Tosia.

Przyłożyła palec do ust.

Mimowoli to samo uczyniła i Grudowska. I stały tak obie, pochylone, blade, zapatrzone w drzwi gabinetu, z jakimś śmiertelnym strachem w sercach.

Wtem huk się rozległ—padł strzał...

Ten strzał dopiero obudził panią Karolinę—z krzykiem rzuciła się ku drzwiom syna. I po chwili zabrzmiał krzyk drugi, z jej piersi wypadły, straszniejszy stokroć, nieludzki jakiś—i runęła na marmur posadzki z łoskotem głuchym.

W tej chwili dwie postacie umykały szybko przez milczące kurytarze pałacu, a w gabinecie pana Henryka, targając w obłędzie włos i piers szarpiąc, wila się pani Karolina na białych marmurach, splamionych krwią, sączącą się z bladego czoła Henryka.

Nie żył—miał skroń strzaskaną kulą pistoletową.

Minęła noc straszna. Z za chmur blade wyblysnął ranek; mgły gęste posunęły się po ziemi i ubierały drzewa w białe szaty szronów, które, gdy słońce weszło, zabłysły tysiącami iskrami, mieniając się blaskami opalów i rubinów.

Na ganku dworku Sochackich stał pan Hipolit, trzymając dłonie na główkach dziecięcych, które do kolan mu się garnęły. Ta przeżyta noc jedna równała się latom cierpień. Policzki miał zapadłe, włos siwy, w oczach smutek niezmierny i wyraz jakiegoś obłędu. Iście po bohatersku przednieśli cios Sohaccy, co w danej chwili było jedynym ratunkiem dla umysłu pana Hipolita.

— Nie rozpaczaj, panie dziedziecu—mówił stary—taka była wola Boga, okrutna dla nas, zawienna może dla tej, co od nas odeszła. Nierozpaczaj, panie dziedziecu, patrz na mnie!... a przeciłem ją nie mniej kochał od ciebie.

— Pomódlmy się za duszę Maryni—szepnęła Sohacka.— Ona już tam! patrzy na nas i czeka nas!...

I pan Hipolit wznosił wzrok w niebo, a duże leż krople padały mu z oczu.

Dzieci garnęły się ku niemu, i on ożywał na dźwięk ich głosu.

— Malyni nima, nima—szepnęły—ale ty ujku ziosta!

Grudowski płakał cicho, utulając w ramionach swoich braciszków Maryni.

Gdy tak stał z nimi na ganku, przypadł posłaniec z Grudowa z listem od rządcy.

Pan Hipolit obojętnie wziął list, lecz gdy przeczytał pierwsze litery, drgnął i pobladł jak ściana.

— Co to, kochany panie? — spytał Sohacki.

— Henryk się zastrzelił—wzywają mnie!

Milczeli chwilę.

— Jedź pan!—rzekł Sohacki.

Pan Hipolit udał się do salonu, w którym na katafalku leżała Marynia, przytulił czoło do rączek „jej“ na krzyż złożonych i ogromnem łkaniem wybuchnął.

— Wróć do ciebie zaraz—szepnął.

W Grudowie zastał matkę, trzymającą w objęciu głowę Henryka i patrzącą w zawarte oczy trupa wzrokiem nieprzytomnym. Nie słyszała kroków zbliżającego się do niej, senna czy obłąkana.

Na dzień trzeci dwa pogrzeby spotkały się u wrót grudowskiego cmentarza. Za trumną Maryni szła rodzina Sochackich, Hipolit, służba i wieś cała, — za trumną pana Henryka nieprzeliczona kawalkata karet pańskich, a przed nią moc księży. Lament dzwonów rozchodził się w powietrzu, poważnie chorągwie szumiały... I szedł tłum w uroczystym milczeniu za tym lamentem dzwonów, za pieśnią księży, za temi dwiema straszniemi trumnami. Mdlejącą ciągle panią Karolinę podtrzymywał pan Ryba, od grobu zaś odprowadził Hipolit, na którego ramieniu szła biała, jak marmur, jak grób — milcząca.

Tosi i księcia Ryszarda nie było.

Od tego fatalnego dnia, w którym przysły wszystkie nadzieje pani Karoliny, upłynęły miesiące długie; lecz ona nie liczyła godzin, nie wiedziała, kiedy słońce wschodzi i zachodzi, czy jest na ziemi ból, czy rozkosz, czy drga krzykiem rozpacz, czy rozbrzmiewa pieśnią weselną. Po złożeniu do grobu zwłok ukochanego syna, zapadła w sen kamienny, w którym zamarała myśl, świadomość samej siebie, czucie cierpienia. Był to trup żywy, straszny bezruchem swoim, z bijącym tylko słabo sercem i piersią, dyszącą ciężko.

Zbolały Hipolit nie wiedział nic o tem... I on potrzebował pociechy, bo mu się rozum mieszał, a serce blizkie pęknięcia było. Lecz budził go z odrętwienia Sochacki, a gdy z Grudowa wieść do niego doszła o okropnym stanie pani Karoliny, nie wahał się pójść do pana Hipolita i rzec:

— Synu, matka chora!

Pan Hipolit prosił, by go nazywano synem.

— Wiem, dotknął ją cios straszny, nie mniejszy od mojego.

— Tak, ale jej stan jest okropny.

Opowiedział, jakie wieści otrzymał.

— Więc? — szepnęła Hipolit.

— Jest sama, oddana na łaskę sług, ty — musisz być przy niej...

Hipolit milczał.

— To obowiązek twój — dokończył Sochacki.

— A... wy? — zapytał po chwili milczenia Hipolit.

— Nie lękaj się o nas, zahartowało już nas niejedno nieszczęście.

I pan Hipolit pojechał do Grudowa.

Obecność jego była konieczną, — chwilowe bezpieczeństwo rozpuściło służbę, nikt nie pilnował domu, nie dowiadywał się do pani Karoliny, nawet Maryanna obecna nie była, szczerząc zęby do lokajów w liberyę ubranych. Stary Rafał, dawny jeszcze sługa Janusza Grudowskiego, zwany powszechnie panem marszałkiem, jaki taki utrzymywał porządek, ale lokajka hałastrą drwiła ze starego, że musiał nieraz do nahaja się porwać.

Przyjazd Grudowskiego zmienił wszystko.

Hipolit nie odstępował od łóża matki, dzień i noc czuwał przy niej, do ust zawartych wlewał posiłek, przynosił ją z łóża na łóżo, gdy świeżo posciel dać trzeba było.

Zabiegał codziennie tylko na chwil parę do Sochackich, czerpał nowych sił u nich i wracał na stanowisko stróża przy chorej.

Tak upływały miesiące — on czuwał. Usunął się dopiero, gdy dusza nieszczęśliwej z omdlenia wyszła, oczy się otworzyły, a usta szepnęły:

— Gdzie jestem?

Pan Hipolit nie chciał się nastroić osobą swoją, wiedział, że to jej nie ukołysze, ani pocieszeniem będzie. Wydał ostry rozkaz Maryannie, by dawne miejsce przy starej pani zajęła, bezwzględna władzę przelał na starego Rafała i wrócił do Górek, dowiadując się codziennie przez posłańca o zdrowie matki.

Powoli pani Karolina zaczęła rozumieć stan swój, wracało życie, wracała okropność pamięci. Lecz nie pytała nikogo o nie, przyjmując w milczeniu posługi Maryanny, milczeniem wydając

jej rozkaz, by wyszła. Czas płynął, czy włókł się. Grudowska na chwilę nie opuściła murów pałacu, nikogo nie zapragnęła widzieć, samotnością otoczyła się i ciszą, przechodząc, jak senna, w ciężkim żalobnym stroju milczące komnaty starodawnej siedziby Grudowskich. Kiedy niekiedy zatrzymywała się, jakby przypominała coś sobie.

Pewnego dnia, z wielkiem zdziwieniem Rafała, Grudowska wezwała go do siebie. Wszedł i czekał na rozkazy.

— Zbliź się, Rafale.

Zbliżył się.

— Usiądź tu naprzeciw mnie.

Stary w milczeniu przysunął taboret i usiadł, a pani Karolina głosem cichym mówiła tak dalej:

— Wiele to już miesięcy czy lat od śmierci Henryka?

— Pół roku blisko, jaśnie wielmożna pani — odpowiedział marszałek.

— Pół roku! — szepnęła. — Prawda! już w pełnym rozkwicie wiosna na dworze, a ja nic nie wiedziałam o niej. Pół roku!... cóż to za kamienny sen miałam!...

Zwróciła się twarzą do okna, przez które płynęły zapachy rozwijających się róż i jaśminów.

— Pani była bardzo chora, długie miesiące chora — rzekł Rafał.

— Kto czuwał przy mnie? Maryanna?

— Oho! patrzy ona na to, ta lafirynda, z prośbami jaśnie wielmożnej pani. Ona przez ten czas pokazywała zęby chłopcom, rozbałowała tak lokajstwo, że nieraz nahajem po skórze trzypnąć musiałem, a raz nawet i o pannę Maryannę zawadziłem. Co to było! co to było! Panie Boże Wszechmogący, Ty jeden wiesz tylko. Tu śmierć i tam śmierć, — tu żałoba i tam żałoba, — tu obłąkanie i tam obłąkanie! Ale czy lokajstwo rozumiało, co to jest? Niesubordynacja, proszę jaśnie wielmożnej pani, że aż strach! za podwilką się kręca, a tu pani jak trup leży. Napisał ją do Górek, choć i tam był strach i skołatanieli... Ale trudno, tu większy strach. To też zaraz pan Hipolit przyjechał, wyglądający sam, jaśnie wielmożna pani, jak umarły i czuwał przy pani dzień i noc, jak niańka, czy siostra miłosierdzia. Odjechał, gdy pani do przytomności przyszła i poznać ludzi zaczęła.

Grudowska milczała, jakieś myśli posępne przez czoło jej się przesunęły, ściągnęła brew lekko, a usta drgnęły. Po chwili, głosem bardzo cichym rzekła:

— Rafale, mam prośbę do ciebie, której mi nie odmówisz. Wszystko już przeszło, zapadło, nawet bóle ukołysały się i mogą ze spokojem słuchać najkrwawszych powieści. Mów więc, jaka była przyczyna śmierci — Henryka?

Marszałek poruszył się niespokojnie.

— Jaśnie wielmożna pani — lepiej milczeć.

— Nie — rzekła Grudowska — mów prawdę, niech już wiem wszystko, niech mnie już żadna niepewność nie męczy. Cóż może być straszniejszego nad to, co przyniosłam?

— To prawda — szepnął Rafał.

— Więc — powiesz?

Marszałek milczał chwilę.

— A to powiem — rzekł.

— Było to samobójstwo, czy zabójstwo?

— Pojedynek — odpowiedział Rafał.

— Z kim? dla czego?

— Z księciem Ryszardem...

— A! — jęknęła Grudowska i zbladła śmiertelnie.

Stary sługa mówił dalej:

— Pan wyzwał księcia: kto czarną gałkę wybierze, ten sobie miał w łeb palnąć — i wybrał ją nasz pan. Strzelił w chwili, gdy pani przyjechała i kurytarzami szła do gabinetu. Tejże nocy młoda pani z księciem opuścili Grudów. Oto wszystko.

— Wszystko! — jak echo szepnęła pani Karolina. Skinieniem głowy pożegnała marszałka dworu i zapadła w jakiś okropny sen na jawie.

Upłynęło godzin kilka — Grudowska nie ruszyła się z fotelu. Oczyma szklanymi patrzyła przed siebie, ni razu powieki jej nie drgnęły, pierś nie zafalowała, nie poruszyły się usta.

Przez drzwi do pokoju pani co chwila zazierała Maryanna, lecz nie widziała jej matka pana Hipolita. Gdy dzień się ku wieczorowi chylił, a Maryanna zmiany żadnej w postaci pani Grudowskiej nie dostrzegła, przejął ją strach. Żadnego ruchu, drgnięcia, tak samo, jak temu go-dzin kilka — oczy szeroko rozwarte, ta sama bladeść trupia i milczenie kamienne.

— Pani! — krzyknęła, nie przestępując progów buduaru.

Grudowska nie poruszyła się.

— Nie żyje! — wrzasnęła Maryanna.

Ten krzyk rozbudził panią Karolinę.

Obejrzała się.

W pokoju była cisza i półmrok.

Stary Rafał, przerażony wiadomością, podaną mu przez Maryannę, pobiegł do buduaru pani i zastał ją kłęzącą przed krzyżem, z kurczowo zaciśniętymi palcami, któremi rwała włosy w obłądnie milczącej rozpacz. Na ten widok sługa usunął się, a z piersi Grudowskiej jęk wypadł:

— Masz-że Ty większe piekło, niż to, które jest w duszy mojej?

I z tem piekłem żyć musiała, z widmami, które zachodziły jej drogę.

Najstraszniejsze — to noce były. Zjawiające się cienie przybierały wówczas kształty okropne. Raz krzyknęła, jak szalona, bo zdało się jej, że podpłynął do niej trup Matyldy i za nogi schwycił, to znów nie widziała nic przed sobą, z ciemności tylko patrzyły na nią przestraszone oczy Maryni. Daremnie tuliła powieki, na głowę sobie zarzucała ciężki szal turecki — przerażona oczy Maryni patrzyły wciąż na nią.

Raz, przechodząc wieczorem przez kurytarz ciemny, natknęła się na coś...

Spojrzała pod nogi.

Jezu! — deptała trupa Henryka.

Jak szalona wpadła do siebie — ale ślady krwi po przejściu stóp swych widziała.

Czasem męczyły ją pocałunków szmery, między cytrynowemi drzewami w oranżeryi słyszane. To książe Ryszard z Tosią.

— Piekło! — wołała w duchu, rzucając się na kłęczki przed krzyżem.

Tak płynęły miesiące za miesiącami.

Lecz czas lekarz zablizniał powoli rany, — widma pojawiały się coraz rzadziej, ale z dniem każdym zdawał się strach przed życiem.

Widziała rozwiane marzenia wszystkie, gwiazdę Grudowskich zagasła, opuszczenie zupełne, samotność straszliwą. A przecie miała jeszcze syna. Nie widziała go oddawna i czuła, że i on ujrzeć jej nie zechce.

Lecz zapragnęła dowiedzieć się czegoś o nim. Rafał życzenie jej spełnił.

Pan Hipolit z Sochackimi zamieszkał w Piaskach i poczynił kroki do usynowienia ich wnuczki. Prawem spadku, — dobra po Henryku przeszły na Hipolita, a wszystkiemi majątkościami pan January zarządzał. Dziadyszkowski lasów nie kupił Zieman, nabytą nawet ich część pan Hipolit mu spłacił. I dowiedziała się pani Karolina, że dom w Górkach zniesiony został, a w miejscu tem stanął przytułek dla rodzin biednych, dzieci osieroconych, starców, którym życie los złamał, szkoła i szpital. I dowiedziała się pani Karolina, że imię Hipolita na ustach było wszystkich, że na niego zwracają się oczy wszystkich, że ostatni z Grudowskich rodu nadał dziwny blask swemu nazwisku.

I zapragnęła go ujrzeć, — a ujrzawszy ubłagać, żeby się — ożenił.

Hipolit przyjechał.

Lecz na widok starca, złamanego nieutuloną boleścią, o włosach siwych i twarzy zapadłej, słowa prośby zamarały jej na ustach i gdy Hipolit do ręki jej się pochylił i rzekł:

— Wezwałaś mnie!

Zbiałałami usty szepnęła:

— Przebac!

Ale on milczał.

— Przebac mi! — powtórzyła.

— Och! — wybiegło z ust pana Hipolita,

— Przebac! — rzekła raz trzeci,

— Boga prosz, matko! On tylko ma moc przebaczenia—ja...

Grudowska podniosła się.

— W piekło mnie rzucasz?—krzyknęła.

— Nie, nie, nie!—zawołał szybko. — Przebaczam!... O matko! matko!

I lkały dwie piersi, nie mogąc przypaść do siebie.

Uplęło lat dziesięć. Chwastem zarósł dziedziniec grudowskiego pałacu. Nikt nie nawiedzał dobrowolnej pustelnicy, której serce krajało się z bólu, że—dzis Sechacki zarządza dobrami Henryka, a jutro bracia Maryni staną się właścicielami Grudowskich fortuny.

Tego ciosu przeżyć nie była w stanie.

I oto, dnia pewnego, znaleziono ją na cmentarzu grudowskim, ubraną w ciężką żałobę. Leżała martwa, oparta czołem o marmur grobu Henryka, z zastygłymi łzami rozpaczy na oczach.

KONIEC.

Z salonów artystycznych.

Mamy obecnie dwie wystawy zebranych licznie prac znanych i cenionych artystów naszych: J. Kossaka i J. Styki.

Wystawa Kossaka jeszcze się z dniem każdym powiększa, napływają tu prace zmarłego artysty z najodleglejszych zakątków kraju, uprzejmie przez właścicieli nadsyłane, jest ona bowiem zrazem pośmiertnym przeglądem bogatego dorobku, wielce płodnego i zasłużonego artysty, który był ulubieńcem szerokich mas i pozostawił w sercu rodaków niewygasłe wspomnienie.

Jan Styka zdobył sobie dość prędko względnie rozgłos i sławę, jako twórca dzieł efektywnych, szeroko i śmiało pomysłanych, a będąc w pełni rozkwitu sił i talentu, obdarzony fantazją, energią i temperamentem artystycznym, ma jeszcze wielką przyszłość przed sobą.

Któż nie zna u nas panoramy Golgoty, której reminiscencyę mamy w szkicach znajdujących się na wystawie? Zajmującym wielce jest cykl, składający się z dwunastu obrazów do panoramy, która obecnie gości w Peszcie p. t. „Bem w Siedmiogrodzie.“

Jest to epizod z 1849 r., gdy dzielny wódz odpiera saskie i austriackie zastępy, a wojska nieprzyjacielskie cofają się z Hermanstadtu.

1) Petöfi pozdrawia nadciągającą dywizję hr. Bethlena.

2) Tabor ciągnący się za wojskiem i grupa jeńców austriackich pod strażą węgierskich huzarów.

3) Bem na czele sztabu, stojącego na drodze wiodącej do Sybinu.

4) Seklerzy (chłopi siedmiogrodzcy), atakujący most broniony przez Sasów.

5) Atak piechoty węgierskiej.

6) Atak huzarów na kawalerję.

7) Grupa ze sztabu jeneralnego Bema.

8—11) Szkice pojedyncze do epizodu „Bem w Siedmiogrodzie.“

12) Szkice Petöfiego na koniu.

Z wielkim mistrzostwem oddana jest postać młodego poety węgierskiego Aleks. Petöfiego, który był zarazem adjutantem Bema. Postać to pełna życia, szlachetności i rycerskiego zapału. Ogółem jest zebranych w Salonie sztuk pięknych Al. Krywulta około 80-ciu dzieł różnej treści.

Największem pod względem rozmiarów jest płótno, przedstawiające „Przysięgę Witolda w obec płonącego Kowna“ (1362 r.)

Młodą pacholę na białym rumaku, ze wzniesionymi do góry rękami, zaprzysięga wieczną zemstę zakonowi. Liczna drużyna go otacza, nastrój grozy i skupienia, odpowiadający uroczystej chwili, charakteryzuje całą grupę.

Studia typów wschodnich i żydów są wyborne. Pełen powagi jest „Żyd pograżony w modlitwie“ i „Żyd z palmą“ o ascetycznym wyrazie twarzy. Portret za to jego własny, również jak portret poety Kar. Brzozowskiego, są prawdziwą ozdobą wystawy.

Teraz przejdźmy do Salonów „Zachęty.“ Wystawa Kossaka — to barwny kalejdoskop, składający się z paruset obrazów, obrazków i szkiców. Wszystkie one zarówno treścią, jak wykonaniem, przemawiają nam do duszy swojskością, werwą, rycerskim istic animuszem. Konie, to umiłowany temat Kossaka. Odtwarza on je w najrozmaitszych typach, dostrajając jakby do wrażeń odczuwanych przez ludzi: gły widzimy je np. cwałujące w szalonym biegu w „Banderyi Krakusów“ zda się tentent ich dolata nas zdala, tyle życia jest i brawury w tym obrazku. Gdy stąpają spokojnie a dumnie w „Spotkaniu Chmielnickiego z Tuhaj-Bejem“ lub „Zagłoby z orszakiem weselnym,“ zda się pragną popisać się dziarskością, godną rycerzy, którym służą. Konie Kossaka są wystudowane nie tylko z mistrzostwem i subtelnnością wielkiego artysty, lecz z ową miłością dla szlachetnego stworzenia, która cechuje wszystkie utwory tego malarza i nadaje im pewną odrębność, nawet wtedy, gdy rzucone są tylko szkicowo, jakby od niechcenia.

Scen myśliwskich spotykamy bez liku. Epizody z życia naszych dworów szlacheckich, zarówno jak wspaniałych rezydencyj magnackich, znalazły tu wierne odbicie, a pochwycone są wyłączenie tylko owe chwile jasne, bez troski, pełne światła i pogody. „Spacer konny,“ „Polowanie na bujnych stepach Ukrainy,“ „Piątka siwosów w pięknym zaprzęgu gotowa do drogi,“ „Powozik babuni,“ dalej znów mkną jak strzała wspaniałe rumaki, a jeźdźcy z zapalem lecą z wiatrem w zawody! Nasze polskie „hulaj dusza“ technie z tej całej seryi obrazów. Nienuży oczów widza pozorna monotoność tematów, w każdym bowiem najdrobniejszym szkicu przebija się ogromna indywidualność, przytem owe „coś,“ co chwytają za serce, bo wszystkie takie nasze, tak dobrze znane, mimowoli czoło się rozchmurzy, troska uleci, i jakby pewną błogość wlewa nam do duszy niezamącony optymizm artysty.

Kossak był przedewszystkiem świetnym ilustratorem i rysownikiem.

Mamy na wystawie cykl ilustracji do „Grąźny“ i „Wallenroda“ i kilka pięknych kompozycji na tle poematów Pola; jest to mała część tego, co na tem polu zdziałał.

Akwarele jak „Śmierć Stefana Czarneckiego pod Żółtymi wodami,“ „Krakowskie wesele,“ „Sobieski z kowalichą,“ „Kafarek,“ „Puk, puk w okieneczko,“ „Al. Morsztyn pod Chocimem,“ „Stef. Rewera Potocki w karocy,“ są prześliczne w kolorycie; inne znów wyglądają blade, jakby kolorowane z lekką rycyną, szczególnie z pierwszego okresu jego działalności na polu sztuki. Olejnych obrazów jest zaledwie kilka, przeważnie bowiem ukochał on akwarelę.

Niestety, o zebraniu wszystkich bez wyjątku prac naszego artysty prawie niepodobna marzyć, rozrzucone bowiem są po całym kraju i zagranicą.

Ze śmiercią Kossaka sztuka polska poniosła stratę nieodżałowaną; imię jego powtarzamy ze czcią należną wielkiemu artyście i zacnemu człowiekowi, i powtarzać je będą również przyszłe pokolenia; obdarzył on nas bogatą spuścizną swego ducha, a szczęściem pozostawił w swym synie godnego, a przewyższającego je jeszcze ojca świetnym talentem następcę.

Jerzy Orwicz.

NIEDOLA.

OBRAZEK.

(Dalszy ciąg.)

Pewnego razu Żewicki, wezwawszy do siebie Mateusza, wręcz go zapytał:

— Słuchajcie-no, stary — powiedzcie wy, ale tak z ręką na sercu, powiedzcie sumiennie, czyście zadowoleni z tego, że ja a nie kto inny jestem właścicielem Karczówki?

Stary podrapał się po głowie.

— No, jakże — zachęcał Żewicki — gadajcie szczerze?

— A no, jeśli mam prawdę rzec, toć już wolę wielmożnego pana, bo go znam nie od dzisiaj, — niżby całkiem obcy miał wejść pod tę strzechę.

— Wolelibyście jednak, aby właścicielką Karczówki była tak naprzykład... panna Wiktorya Kolska?—he?

Mateusz obracał czapkę w ręce, nie jednak nie odpowiedział.

— Gadajcie szczerze, ja się nie rozgniewam.

— Ha, jeśli już tak mam szczerze od serca powiedzieć, to już ciż że wolałbym tę nieszczęśliwą sierotę widzieć w tej siedzibie, w której ujrzała światło dzienne, boć to człek i przyzwyczaił się do tego od małego, a i jakoś zżył się z rodziną. Oj, wielmożny dziedzicu, przecieć nieboszczyk był człkiem, za którym wieś cała jak jeden mąż poszłaby w ogień lub wodę.

To mówiąc, otarł łzę, spadła na siwy wąs sumiasty.

— Bardzo i jabym życzył sobie tego, aby panua Kolska mogła spokojnie żyć w tym dworze, lecz cóż z tego, gdy Bóg widać chce inaczej!

Stary uważnie spojrział na mówiącego.

— Dziwicie się?—mówił w dalszym ciągu Żewicki — ale nie pora teraz tłumaczyć wam znaczenie słów moich; posłuchajcie ot lepiej co wam powiem. Przedewszystkiem odpowiedzcie, czybyście spełnili pewną prośbę, gdybym wam ją otwarcie przedstawił?

— Kaźcie panie dziedzicu—zawołał Mateusz, a chętnie uczynię co kaźcie.

— Prosić was chcę tym razem, nie rozkazywać—dodał Żewicki.

— Niechaj i tak będzie, o co więc idzie wielmożny panie?

— O ile mi wiadomo, nie bardzo jesteście przyjaźnie usposobieni względem stryja panny Kolskiej?

Stary aż się wstrząsnął na te słowa.

Oj! — zawołał drżącym głosem — toć to wróg nieboszczyka! a kto był jego wrogiem, ten i mój być musi.

— A jednak Chrystus Pan inaczej nas uczy: „Kto na ciebie kamieniem — ty na niego chlebem,“ — nie godzi się więc zawiaść tak okrutnie.

— Szczerza prawda, wielmożny panie, ale cóż z tego, gdy człek jest ino ulomnem stworzeniem, a natury nie przerobić, u mnie zaś natura taka, że kogo ukocham, to już sercem całym, ale za to kto staremu Mateuszowi zaleje sadła za skórę, temu ho! ho! póki życia zapomnieć tego nie mogę! Pomstować — nie pomstuję — ale też i przyjacielem być wtedy nijak nie umiem! — to trudno, wielmożny dziedzicu, nie mnie starcowi stojącemu nad grobem teraz dopiero przerabiać naturę.

— A mimo to wszystko, chcę was pocziwy Mateuszu prosić, abyście pojechali do Laskowa.

— W imię Ojca i Syna! — przeżegnał się stary — ja?!

— Tak.

Mateusz przez czas pewien patrzył w oczy Żewickiemu, wreszcie jakby pod wpływem budzących się nanowo wspomnień, z determinacją szepnął:

— Nie mogę!!

— Wszakże wy jedni nie wierzycie złośliwej plotce, obiegającej całą okolicę, wy jedni temu nie dajecie wiary, boście człek uczciwy, a pannę Wiktoryę znacie od dziecka; nie sądzicie zatem, że jakieś niedobre wyrachowania powodują mną w tym wypadku. Uchowaj Boże! wiem tylko o tem, że tam nikogo nie ma przy niej z tych, którzy ją miłują; niechże choć znajdzie się jedno jedyne serce!

Mateusz otarł łzę, wydobywającą się nieznanie z pod płowej żrenicy.

— Jużciś, święte słowa wielmożnego dziedzica, nie ma co.

— Widzicie, czyż nie mam racyi?

— Jakżeby więc to urządzić?—zapytał fraso-bliwie, łagodniejąc już widocznie pod wpływem dosadnych wywodów młodego dziedzica.

— Jak? a no najprostszym sposobem — podchwycił Żewicki — pojechać, przedstawić rzecz całą w Laskowie i pozostawić tam swoją żonę, jako dozorczynię przy chorej. Wszelkie straty, mogące wyniknąć w gospodarstwie z powodu wyjazdu waszej kobiety, ja wam w trójnasób zwrócę.

— Nie o to chodzi, wielmożny panie, ale czy aby zgodzą się na nasze żądanie?

— Żądanie to jako wiernego towarzysza doli i niedoli i starego sługi karczowickiego, ma być tylko waszem. O mnie tam, uchowaj Boże, mowy być nie ma!

— Prawda i to, — zauważył Mateusz — że wielmożnemu dziedzicowi od siebie nie wypada żądać ich przyzwolenia, które się tyczy dozorowania chorej panią.

— Zatem pojedziesz Mateuszu?

— A no, toć niechaj i tak będzie, skoro inaczej być nie może.

— Dziękuję wam za życzliwość. Kiedyż wyjedziecie?

— Choćby i dzisiaj jeszcze.

— Jedźcież z Bogiem! A pierwaj niechaj żona do mnie przyjdzie — muszę jej dać wskazówki, jak ma się zachowywać, oraz też pieniądze, aby chorej na niczem nie zbywało.

Stało się według życzenia Żewickiego. Mateuszowa solennie obiecawszy nie odstępować chorej panią, energicznie zabrała się do odpowiednich przygotowań, aby godnie wystąpić w roli sumiennej dozorczyń; stary zaś, włożywszy na siebie odświętny surdut granatowy, szamerowany, uczyniwszy znak krzyża świętego, w imię Boże wyruszył w drogę.

Gdy konie z Karczówki stanęły przed ganekiem laskowickiego dworu, na progu ukazał się Grzesz.

— Czym zastał dziedzica? — zapytał pewnym głosem Mateusz, gramoląc się z bryki.

— A ino — odpowiedział parobek, na którego pucułowatej gębie malowało się zdziwienie.

— Powiedz, że Mateusz Gazda przyjechał z Karczówki.

— Dycie wiem, — zawołał Grzesz — i lecę duchem dać znać o tem dziedzicowi.

Mateusz, nie czekając na zaproszenie, wszedł teraz śmiało do sieni.

Niezadługo potem drzwi główne skrzypnęły i ukazała się w nich nieco przygarbiona, a mimo to wyniosła postać Kolskiego.

— Niech będzie pochwalony! — powitał Mateusz.

— Na wieki. A z kądże to? — rzucił pytanie Kolski, jak gdyby po raz pierwszy w życiu widział starego sługę.

— Z Karczówki.

— Ach to od administratora!

— U nas nie ma administratora, jest jeno dziedzic — poprawił Mateusz.

Kolski mimowoli zmarszczył brwi, aż nadto bowiem uczuł, iż stary sługa dociał mu w ten sposób, iż niemożna było nawet skarcić go za to.

— Prawda, prawda! — począł niby jowialnie, w gruncie zaś ze złośliwością — zapomniałem o tem, że to dworscy oficjaliści przy lada nadarzonej okoliczności chętnie przybierają pozy i maniery niezupełnie co prawda dla nich odpowiednie.

Dwuznacznik ten, odnoszący się nietylko do Żewickiego, lecz dotykający i jego pośrednika,

Mateusz zniósł spokojnie, udając, iż go nie rozumie.

— A czegoż to odemnie żąda wielmożny dziedzic karczowicki? — zapytał Kolski z naciskiem na słowo „dziedzic.“

— Prawdę rzekłszy, to nie — odparł chłodno Mateusz.

— A zatem?

— Właściwie to ja mam jeno sprawę własną, z którą tutaj przyjechałem.

— Ty?

— Czy to wielmożnemu panu dziwota, że stary sługa i wierny przyjaciel nieboszczyka — świeć Panie nad duszą jego! — może mieć jakąś prośbę własną!

— Phi, dla czegożbyście, moi kochani, nie mieli prosić, owszem, wcale się temu nie dziwię.

— Otóż tedy przybyłem do Laskowa, krótko powiedziawszy, prosić wielmożnego dziedzica o to jeno, aby moja kobieta mogła dozorować naszą panią.

— Nie pojmuję o co właściwie idzie: jeżeli o opiekę, toć na niej nie zbywa mojej siostrzenicy i bez karczowickiej oferty, — a powtóre, powiedzcie mi, z kąd wam myśl podobna przyszła do głowy! gdyż przyznam się, że jest to żądanie więcej niż śmiałe.

— Wielmożny panie — podchwycił Mateusz — nieboszczyk, umierając, polecił swoje dziecko jedyne mojej opiece, a choć jestem ino prostym chłopem, to jednak dziedzic Karczewa nie wahał się zaufać mi więcej może niż innym... i nie omylił się w tym wypadku, bo ja żywot mój grzeszny gotów bym postradać, aby ino to zacne dziecko, ta sierotka nasza nie zaznała niedoli na tym świecie!

— A cóż to, czy nie ma stryja i stryjenki? Tu jej miejsce i tutaj też pozostanie pod opieką tych, od których jej przyszłość jest dzisiaj zależną.

Stary nie tak łatwo dał się zbić z tropu.

— Nie śmiem przeczyć — rzekł — nie śmiem, ale toć ja przysięgam na Ukrzyżowanego, że jej nie opuszczę w żadnem nieszczęściu, ani też w chorobie, i tak mi Panie Boże dopomóż, a spełnić przysięgę chrześcijańską muszę — koniecznie muszę!

W głosie starego sługi tyle było siły przekonującej, że przez krótką chwilę Kolski zawahał się, nie mogąc się zdobyć na odpowiedź.

Mateusz, korzystając z tego, w dalszym ciągu prawil:

— Pozwólcie, panie dziedzicu, a Bóg to wam stokrotnie wynagrodzi. A i dla wielmożnych państwa wygodna będzie przecie rzecz, gdy moja kobieta strzedz będzie chorej dzieciny dniem i nocą.

— Ależ...

— Pozwólcie — zawołał powtórnie, nachylając siwą głowę do kolan Kolskiego — choć jam chłop prosty, ależ niewolno mi łamać uroczyste dane go słowa. Wola nieboszczyka jest dla mnie świętą! Pozwólcie więc, wielmożny dziedzicu na litość Boga pozwólcie!

— No, no, gdyście na tę opiekę przysięgali, to wiedcież o tem, że jako katolik jedynie, ustępuję — rzekł wreszcie Kolski — niechaj już i tak będzie! A kiedyż chcecie przysłać waszą żonę?

— Gdy jeno powrócę do Karczówki.

— Zatem dziś jeszcze?

— Jeśli łaska, to dzisiaj.

— Zgoda! Możecie przysłać swoją kobietę.

Starzec skłonił się, a usiadłszy na bryczkę, w pół godziny później był już z powrotem w Karczówce, gdzie szczegółowo opowiedziawszy Żewickiemu swoją rozmowę z Kolskim, wysłał następnie żonę co prędzej do Laskowa.

Mateuszowa, przybywszy na miejsce, zastała Wiktoryę zmienioną i mającą pod wpływem silnej gorączki, natychmiast więc pełnęła jednego z parobków do miasta po doktora.

Żewickiemu pozostała obecnie ta chociaż jedyńca pociecha, iż odtąd biedna sierota nie będzie już pozbawioną szczerzej, prawie że macierzyńskiej opieki. Uspokojony nieco w tym względzie, położył się, lecz sen jakoś ulatał dzisiaj z jego powiek.

Nad ranem dopiero udało mu się usnąć, lecz

już w parę godzin później, wstawszy z łóżka, czuł, iż znużenie fizyczne opanowało go nie żartem, a niepokój jakiś dziwny trapił go też bezustannie.

Około południa przed ganek dworu karczowickiego zajechał mały dwuosobowy wolancik. Wsiadło z niego dwóch mężczyzn.

Żewicki podszedłszy bliżej okna, poznał w nich baronów Krepnerów. Czyżby tak dumni zazwyczaj bracia, właściciele sąsiednich Rozłogów, tym razem pierwsi mieli mi składać wizytę — pomyślał Żewicki — ha, widocznie że tak jest, skoro ich tu widzę.

W chwilę potem Mateusz, wyszedłszy do przybyłych, zapytał, czy konie można wprowadzić do stajni; otrzymał jednak przeczącą odpowiedź.

Żewicki wyszedł powitać przybyłych.

— Gość w dom, Bóg w dom! — zawołał — proszę ponów do pokoju.

— My tu na krótką zaledwie chwilę — przemówił starszy — i to niestety, w nie zbyt przyjaznej misji, dla tego też witać nam pana jakby może w zwykłych okolicznościach wypadało — nie można...

— Cóż takiego? Czyżby znów ktoś z Karczówki straszyl zwierzyne na rozdolskich polach?

— Nie o zwierzyne tu idzie, lecz o coś ważniejszego...

— Zaciekawiacie mnie, panowie, nie żartem! W każdym razie proszę do dworu; wszak bodaj na chwilę zająć przecie trzeba.

Dwaj bracia w milczeniu weszli do pokoju.

— Jestem teraz na panów rozkazy — rzekł Żewicki — siadajcież panowie.

— Otóż — rozpoczął starszy — przywozimy zapewnienie Tadeusza Koszuckiego, iż finał zajścia, które miało miejsce podczas wiadomej panu nocy w komnacie jego kuzynki, pozostającej pod moralną opieką domu Kolskich, musi się zakończyć rozprawą honorową.

Żewicki się wstrząsnął.

— Wiadoma noc w komnacie kuzynki pana Koszuckiego! toż to nonsens wierutny! Ale jeśli już tak dalece fantazyja pana Koszuckiego potrafi stworzyć historie niebywałe, — w takim razie dziwię się tylko, że teraz dopiero przypomniał on sobie o szukaniu zadosyćczynienia honorowego.

— Możemy pana zapewnić, że zrobiłby to przed pięcioma dniami, lecz myśmy bawili aż w lubelskiem, bez nas zaś nie mógł działać jak należy.

— Rądbym przekonać panów, iż podejrzenia pana Koszuckiego bezpodstawne, obawiam się wszakże, aby nie osiągnąć wręcz przeciwnego skutku; w każdym jednak razie szczerze bym pragnął uniknąć krwi rozlewu, tem bardziej, gdy pan Koszucki podejmuje sprawę obrony rodziny, której ja niczem i nigdy nie ubliżyłem.

— Wybacz pan — przemówił teraz młodszy z braci — ale cała okolica aż trzęsie się od plotek. Ludzie już głośno opowiadają sobie, zarzucając Kolskim niedbalstwo opieki nad sierotą. A przytem Tadeusz i inne ma powody, dla których zmuszony jest szukać satysfakcyi z bronią w rękę; w obec więc wszystkich tych okoliczności zrozumie pan chyba aż nadto dobrze, iż o odrzuceniu wyzwania mowy być nawet nie może.

— Jeżeli dowodził o niekonsekwencyach popełnionych przez pana Koszuckiego, czyniłem to nie w innym celu, jak tylko dla przekonania panów o tem, iż podjęliście się sprawy, stojącej na chwiejnym gruncie czczych pozorów; ale skoro misję swoją uważacie za niezbędną do wykonania, w takim razie nie pozostaje mi nic innego, jak tylko przyjąć wasze warunki.

— Panu właściwie przysługuje prawo dyktowania warunków — nie nam.

— Prawda, zapomniałem! a zatem — proponuję broń białą.

— Mianowicie?

— Pan Koszucki, zdaje mi się, włada szablą?

— Tak jest.

— O ile pamiętam, to wcale nieźle,

— Bardzo dobrze.

— W takim razie będę miał godnego przeciwnika.

— Ale Tadeusz życzy sobie, aby rozprawa nastąpiła bezwarunkowo pojutrze rano.

— Gorąca krew! — zaśmiał się Żewicki — ha, niechaj więc i tak będzie.

— Spotkanie o godzinie dziewiątej.

— Gdzie?

— Na polance, tuż nad rzeczką, nieopodal od brzegu pańskiego lasu, w tem miejscu gdzie stoi krzyż.

— Doskonale! Dziś mamy środę, a zatem do piątku?

— Tak.

Krepnerowie powstawszy, skłonili się w milczeniu i nic już więcej nie mówiąc, odjechali.

Dwa dni szybko zeszły na przygotowaniach do pojedynku.

Na jednego z sekundantów uprosił Żewicki pana Molickiego z Rudnik; drugim zaś miał być pan Płocki, właściciel Pomiechowa.

Już we czwartek wieczorem, według danego Żewickiemu przyrzeczenia, przyjechali oni wraz z lekarzem do Karczówki, gdzie przenocowawszy, rano wyruszyli wszyscy na miejsce spotkania.

Poranek był chmurny, lecz ciepły. Od kilku-nastu godzin temperatura zmieniła się zupełnie.

Zanosilo się na odwilż.

Lekkie mgły dookoła parowały, a śnieg już topniejący, ześlizgując się co chwila z wilgotnych gałęzi, spadał na ziemię.

Gdy powóz zajechał na polankę, zastano tam Tadeusza z sekundantami, oczekujących już od kilku minut.

Po zamianieniu zwykłych form towarzyskiej etyki, zbadano następnie grunt, a uznawszy polankę za odpowiednią do tego rodzaju rozprawy, sekundanci mierzyli pałasze.

— Dobrze — rzekł Molicki. — Proszę panów stanąć.

— Dwaj przeciwnicy stanęli naprzeciw siebie na długość pałasów.

Tadeusz był blady — pomimo widocznego wysiłku i pracy, nad sobą, nieco zdenerwowany; gdy za to Żewicki niczem nie zdradzał wzruszenia.

Walka się rozpoczęła.

W pierwszej chwili Tadeusz natarł z takim impetem, że szabla jego formalnie otoczyła Żewickiego dookoła, — ten jednak bronil się znakomicie, z równą szybkością odpierając ciosy.

Pomimo energii Tadeusza, znać wszakże było pewną przewagę zimnej krwi, z jaką Żewicki podejmował walkę. Cała jego postać nie rzucała się wcale, ręka tylko w samej kiści czyniła zwinne i szybkie jak myśl obroty, a za każdym takim ruchem ostrze pałasza Żewickiego odpierało skutecznie cios przeciwnika.

Po niejakiem czasie pot kroplisty oblewał czoła obu walczących. Tadeusz wszakże ciągle nacierał, tamten bronil się tylko... naraz Żewicki przestał się cofać i nagle szybki jak grom, wpadł na Tadeusza z taką furją, że tenże aż przysiadł na chwilę.

Obecnym zdawało się, że tu już koniec walki; ale z nielada przeciwnikiem Żewicki miał rozprawę, Tadeusz bowiem, ochłonawszy z pierwszego wrażenia, odparł atak prawdziwie mistrzowską sztuką, i oto naraz stała się rzecz całkiem nieoczekiwana, — Żewicki bowiem widocznie tracił krew zimną, Tadeusz zaś panował coraz bardziej nad sobą. Rzuty Żewickiego stawały się gwałtowniejsze, — nagle potknął się w jednym miejscu i w tymże momencie, jakby rażony piorunem, padł twarzą na ziemię.

Pierwszy Molicki dobiegł do leżącego.

— Zabity — zawołał, spoglądając na doktora.

— Trzeba przedewszystkiem zatamować krew — rzekł lekarz — proszę panów o pudełko, znajdujące się w naszym powozie.

Krepnerowie wraz z Tadeuszem natychmiast odjechali, doktor zaś zabrał się ostrożnie do opatrunku rany.

— Ależ to już trup! — szepnął Płocki.

— Jeszcze nie — rzekł doktor — nie przeczę jednak, że rana w okolicy lewego ucha jest bardzo poważną, lecz chwala Bogu on jeszcze żyje!

Ostrożnie teraz przeniesiono Żewickiego do powozu, a gdy stanęli w Karczówce, w proggu powitał ich Mateusz.

— Jezus Maryja! — wrzasnął starzec, ujrzawszy swojego pana niesionego na rękach, którego następnie doktor z Molickim umieścili wspaniałej komnacie.

Ranny odzyskiwał parę razy przytomność, lecz wkrótce potem zapadł znów w jakiś jakby półsen gorączkowy i wówczas majaczył w malignie.

W jednej z takich chwil powrotu przytomności, przywoławszy do siebie Mateusza, słabym, zaledwie dosłyszalnym głosem polecił mu, aby natychmiast sprowadził rejenta.

Wola jego sumiennie spełnioną została, tak iż niespełna w dwie godziny później rejent był już we dworze.

Po pewnym przeciągu czasu Żewicki znów otworzył zamglone oczy, wówczas rejent zbliżył się do niego.

— Jestem, kochany panie, na twoje rozkazy.

Na ustach chorego zjawilo się coś w rodzaju przelotnego, zaledwie dostrzegalnego uśmiechu.

— Testament... — szepnął — zrobić... testament.

— Komu przekazujesz pan Karczówkę? — zapytał.

Nastala dłuższa pauza, podczas której znać było, iż chory walczy z upadkiem sił żywotnych, wreszcie drżące mi wargami szepnął tylko:

— Wiktorya...

— Komu? — powtórzył pytanie notaryusz, nachylając się nad nim.

— Kolska!... — jęknął z przymusem.

— Córnka niezjącego dzierżawcy tutejszego majątku?

— Tak...

— Czy cały majątek?

— Żewicki dał oczami znak zezwolenia.

— A wszelką gotówkę, należącą do pana, czy także zapisujesz Wiktorii Kolskiej?

— Zapisuję... — jęknął z wysiłkiem ranny.

Gdy blankiet był gotowy, podano go do podpisu Żewickiemu — ciężka to była jednak sprawa, gdyż ręka wprost odmawiała posłuszeństwa. Dopiero w parę godzin później testament został wreszcie podpisany.

Rejent, załatwiwszy przy świadkach wszelkie wymagane przez prawo formalności, opuścił dwór karczowski. W nocy gorączka wzmogła się jeszcze bardziej, ranny poczał majaczyć w malignie, a z jego urywanych, bezładnie ulatujących słów, można tylko było chwilami rozróżnić imię... sieroty i ciche westchnienie: niedola...

Nagle otworzył oczy. Doktor z Mateuszem zbliżyli się do łóżka.

— Co się dzieje?... gdzie jestem? — zapytał tym razem głośno, jak gdyby nagle wrócił mu zasób sił żywotnych.

— Usiebie w Karczówce — zapewniał doktor — uspokój się, panie Ludwiku — nie mów tak głośno.

— A ona?... gdzie jest?... gdzie ona?... Wikcia?! moja — nie moja... nasza... niedola...

— Cicho, cicho! — szepnął doktor, biorąc go z lekka za rękę. Ręka ta formalnie parzyła, tak była rozpaloną.

— Ach... — wołał Żewicki — jesteś tu nareszcie... o tu... stoisz przedemną!... ale cóż to?... ubrałaś się w habit zakonny?!... Ach, jakże ci pięknie w tej białej zasłonie!... ty pytasz?... czym zdrow?... a jakże — zdrow jestem zupełnie... tylko głowa!... oj, głowa!... mój Boże, głowa!...

Wtem krzyknął przeraźliwie, aż Mateusz z doktorem drgnęli strwożeni.

Starzec, zdjawszy z przed obrazu Matki Boskiej gromnicę i zapaliwszy, włożył ją w dłonie Żewickiego.

Obydwa ukłękli przy łożu; Mateusz zaś poczał półgłosem odmawiać modlitwę za konających, a Żewickiemu wargi drżały w tej chwili. Zda się, że niezbadaną jakąś intuicyą konania pragnął z wiernym sługą błagać Pana nad Pany o przyjęcie grzesnej duszy. Wargami jednak poruszał coraz słabiej, zrenice stały się nieruchome, a oczy jakby ze szkła matowego — i za-

nim Mateusz doszeptał ostatnich słów modlitwy, Żewicki oddał ostatnie swoje technienie Bogu.

— W imię Ojca i Syna i Ducha Świętego — amen! — szeptał starzec, ocierając wielkie łzy perliste, zasłaniające mu oczy.

— Skończył... — rzekł doktor — niechaj ci ziemia lekka będzie!

(Dalszy ciąg nastąpi).

Z historyi miliardów.

Dla nas żyjących w starej Europie, spotykających się niemal co krok z widokiem niedostatku i nędzy całych warstw ludności, ciekawymi będą szczegóły o kolosalnych, bajecznych niemal fortunach miliardów amerykańskich. Podając tu sylwetki paru kobiet, słynących w najnowszych czasach z bogactw swych w tak zwanym „Nowym świecie“, przedstawimy zarazem sposób, w jaki większa część potentatów piędźnych zdobywa te swoje miliardy. Bolesnie jest stwierdzić, że w ogóle ludzie, którzy sami w młodości mieli do walczenia z przeciwnościami i nędzą, nie stają się bynajmniej wyrozumialszymi i tkliszymi na cierpienia innych, a robotnicy zatrudnieni w ich olbrzymich zakładach i fabrykach, doświadczają srogiego nieraz wyzysku i ucisku, nie mówiąc już o tem, że w zapamiętałej gonitwie za milonem, depeze się najważniejszą prawa ludzkości i sprawiedliwości.

Z pomiędzy miliardów amerykańskich, tych nawet, którzy znaczne sumy składają na cele oświaty lub użyteczności publicznej, niewielu tylko dba o polepszenie klas pracujących, a mniej jeszcze zachowuje jakiegokolwiek skrupuły w walce ze współzawodnikami.

Środkiem do zdobycia olbrzymich fortun takich miliardów, jak sławni królowie: żelaza, bawełny, zboża, stali, cukru, mleka i t. p., tych znanych w Ameryce potentatów z „Piątej Alei“ (Fifth Avenue) w Nowym Yorku, jak: Rockefeller, Vanderbilt, Gould, Carnegie, Sloane i t. d., jest syndykat, tak zwany „Trust“, to jest „rozbój na gładkiej drodze“, który praktykuje się pod osłoną prawa, a raczej bezprawia w kraju wolnym, rządzonego przez własnych jego obywateli, przez obieralnych urzędników.

Posłuchajmy, co o tem mówi jeden z senatorów amerykańskich, pan Chauncey M. Depew, zajmujący poczesne miejsce w liczbie owych „czterystu“ najznakomitszych obywateli Stanów Zjednoczonych. Wiadomo, że „Trust“ czyli syndykat albo kartel tworzy niewielką liczbą producentów, w celu zapewnienia sobie wyłączności w jakiejś gałęzi produkcji lub handlu, a to z krzywdą zasad wolnego handlu i przemysłu. Chauncey w obec Komisji Handlowej Stanów Zjednoczonych, podnosząc szkodliwość owych zmwów, wymierzonych przeciw energii i przedsiębiorczości jednostki, mówił między innymi: Ludzie posiadający niewielki z razu kapitalik, służący im do prowadzenia rozmaitych przedsiębiorstw, są to częstokroć młodzieńcy pełni zdolności, rzutkości i energii, którzy zdobyli zaufanie klientów swych uczciwością i pracą wytrwałą, a pragną ciągle rozszerzać zakres swej działalności, z korzyścią dla siebie i ogółu. Cóż oni dziś poradzić mogą w obec „Trustów“, nie pozostawiających odłogiem żadnej gałęzi przemysłu czy handlu w Stanach Zjednoczonych? Pomimo wszelkich wysiłków, walka ich nierówna z przewagą i tyranją olbrzymiego kapitału będzie tylko kwestyą czasu: oni muszą być zgniećeni i zdeptani, a społeczeństwo steroryzowane przez kilku czy kilkunastu mocarzy kapitału, nabywać będzie drożej przedmioty użyteczne lub niezbędne do życia.

Jeżeli tak pójdzie dalej, to za lat kilka nie pozostanie w Stanach Zjednoczonych ani jednego niezależnego handlarza lub przemysłowca, mogącego stawić czoło przemocy „Trustów,” miażdżących wszelką śmielszą inicjatywę jednostki dorabiającej się uczciwie wytrwale bytu. Nawet drobniejsze spółki zbożowe, mleczarskie, tkackie, kolejowe i t. p., giną jedne po drugich; w obec zaś braku współzawodnictwa, zginą wszelkie udoskonalenia, zgniecionym będzie postęp i dążność do ulepszenia produkcji.

W zasadzie taki kartel czyli „Trust” potępieniem jest przez prawo wszystkich narodów cywilizowanych, gromadzi bowiem z krzywdą ogółu niesłychane miliony i miliardy w rękę jednostki, której przemoc staje się wówczas bezgraniczną prawie, a silniejszą niż despotyzm dawniejszych panujących—tyranów. Ale też same, częstokroć zdzierstwem i gwałtem nabyte miliony stają się narzędziem do ubezwładnienia prawa i za pomocą ohydneho przekupstwa rozwijają się jak olbrzymie pająki, wysysające soki żywotne. Przekupstwo krzewi się w tym kraju swobodnym i unicestwia najużyteczniejsze ustawy, kępuje prawo.

Idzie naprzykład wielkim producentom o podniesienie ceny jakiegoś artykułu, którego dowóz z zagranicy wyrównałby zapotrzebowania miejscowe: weźmy cukier, który z Kuby lub Jamajki mógłby być dostarczony po cenie 6 centów. Otóż spekulant jeden lub kilku tworzących zmowę („Trust”), stara się w sferach urzędowych o nałożenie wysokiego cła na przywożony towar, przypuścmy 5 centów od owej jednostki wagi, a wtenczas swój produkt sprzedaje po 9 lub 10 centów; ogół zaś kupuje z konieczności, płacąc półtora raza drożej, niżby należało w razie, gdyby sztucznie nałożonego cła nie było. Najrozmaitszemi, a zwykle nieczciwemi sposobami zwalczają miliarderzy przeciwników swych lub mniejsze spółki wytwórcze i jednostki przedsiębiorcze; gdy zaś sprawa oprze się o sądy, wlecze się w nich bez końca lub wychodzi na korzyść potentatów, zapelniających urzędy swymi płatnymi lub protegowanymi kreaturami.

Senator Chauncey postanowił ze swej strony prowadzić wojnę zażartą przeciwko „Trustom.” Niezależne jego położenie i ogromne środki, jakimi rozporządza, ułatwiają mu tę walkę, której rezultat jednak nader jest wątpliwym w obec niesłychanej potęgi—złota. Tymczasem dzielny obywatel śmiałem słowem piętnuje postępkę, a raczej występki tych, którzy garścią zdobytych zdzierstwem i rabunkiem milionów obdarowują otumanione społeczeństwo chociażby na cele użyteczności publicznej. Nie trzeba nawet nowych praw dla poskromienia przemocy kapitałów; wystarczyłoby wykonywać te, które istnieją, ale o to właśnie najtrudniej. A znów najbogatsi miliarderzy skrywają niejednokrotnie swe dochody, lub też terroryzują urzędy, aby się uwolnić od płacenia podatków na rzecz tego kraju, w którym się wzbogacili.

Ze świata tych, tak często niesympatycznych bogaczy, wybierzemy parę sylwetek osobistości, w których działaniu nic karygodnego dopatrzeć się nie da.

Królowa bydła i królowa złota.

„Królową bydła” nazywają w Ameryce panią Ryszardową King, która między znanymi miliarderami, jak król zboża, król cukru, król stali i t. p. poczestnie zajmuje miejsce. Straciwszy w 1885 r. męża, który się dorobił w Texasie wielkiego majątku na hodowli bydła, pani King zajęła się energicznie rozwinięciem i ulepszeniem zakładu, a tak się zręcznie wziąć umiała do rzeczy, tak mądrze wynajdywała drogi bytu i robiła zakupy, że niebawem fortuna jej się podwoiła. Zamiast jednak spocząć na laurach, dzielna kobieta zdwojonemi siłami zabrała się do pracy i dzisiaj jest właścicielką terytorium większego trzynastu razy od departamentu Sekwany (t. j. około 700,000 hektarów ziemi). Pani Henryka King, pięćdziesięcioletnia kobieta, o rysach twarzy energicznych i poważnych, rządzi samowładnie swem państwem, a kogo ona odprawi ze swej służby, ten pewno nigdzie nie znajdzie przyjęcia. — tak jest szanowanym imię „Królowej bydła.” Państwo jej, to obszar nie lada: mieści w sobie około 800,000 bydła rogatego, 160,000 owiec i 10,000 koni. Corocznie wyprawia się na statkach około 300,000 sztuk, przynoszących od 75 do 100 milionów franków. Cały obszar dzieli się na 12 powiatów, z dwudziestu kilku wioskami i 2,500 ludności. W każdym powiecie władza zarządcza (lord) w wieku dojrzałym i żonaty koniecznie, a nad wszystkimi stoi ogólny wielkorządca, niby pierwszy minister tego króla w spódnicy. Wioska otaczająca siedzibę „lorda,” składa się z domków, a raczej chat, budowanych z okrągłaków drewnianych, ale obszernych i wygodnych; w około ciągną się baraki pastuchów (cew-bogs) i parobków, chaty robotników meksykańskich i stajnie koni wierzchowych. Pośrodku mieści się także kościół i szkoła, a pastor i nauczyciel wybierani i opłacani przez królową, są na jej usługi. Wszyscy pracownicy dostają prócz mieszkania, żywność, lekarza i lekarstwa bezpłatnie; pozostaje im tylko troszczyć się o przyrodziewek i nieźle im się dzieje; nie spotyka się tam ani ubóstwa, ani występku, tylko że wszyscy ci ludzie są niejako „poddanymi” swej pani.

Królowa bydła odbywa corocznie dwa razy podróż inspekcyjną w dobrach swoich: raz na wiosnę, by się przekonać, jak wygląda bydło, drugi raz w jesieni dla obejrzenia pastwisk i przygotowań na zimowle zwierząt. Podróż ta-

ka—to prawdziwy pochód tryumfalny: setki powozów z gośćmi zaproszonymi, furgony z kuchnią i służbą, orszak pastuchów i posługaczy, słowem — cała świta królowej. Pani King ma dwie pyszne rezydencje w dobrach swoich, ale woli zamieszkiwać wspaniały pałac, który wybudowała niedawno w mieście Corpus Christi.

Inny zupełnie typ przedstawia uroczą, dziś zaledwie 25-letnią Królową złotą, pani Zuzanna Brousford Emery, która owdowiawszy przed pięciu laty, posiadała jedną tylko kopalnię prawie bezużyteczną, jak się zdawało. Otóż piękna wdówka kazała raz jeszcze dokładnie zbadać rudę i grunt cały w swej majątności, a przekonawszy się, że dawało się z niej dobyć znaczną ilość srebra, postanowiła zwiększyć eksploatację. Jakoż niebawem kopalnia, zwana Silver King, zaczęła się doskonale opłacać i w końcu pierwszego roku już przynosiła 30,000 franków miesięcznie zysku. Produkcya srebra zwiększała się ciągle, a w roku zeszłym pani Emery dokupiła sobie złotą kopalnię Grand Central (w okręgu górniczym Eureka). Nowy ten nabytek w ciągu roku przyniósł właścicielce 5 milionów franków dochodu, a wartość jego oceniają na jakie dwieście milionów.

W czasie ostatnich wyborów na prezydenta, piękna wdowa przebiegała całą Amerykę, walcząc za sprawę Bryana, a przeciwko walącizłotej, ale niestety! napróżno. Uwielbiana w świecie słynnych czterystu (arystokracja amerykańska), nie chciała jednak dotąd przenieść się do New Yorku; w ciągu zaś 1898 r. rozdała ni mniej ni więcej, jak 138 koszyków oświadczającym się o jej rękę. Zobaczymy, ile ich znajdzie jeszcze do rozdania uroczą, a zaledwie 25 lat liczącą „królową złotą.”

M. Świdarska.

Do dzisiejszego numeru „Bluszcza” dołącza się: *Tahar*, nowella Pawła Dys. Przekład Bronisławy Kowalskiej.

Nakładem Michała Glücksberga, Wydawcy Bluszcza wyszła z druku książka p. t

Z MARZEŃ ŻYCIA

POEZYJE

SELIMA

(Władysława Bukowińskiego).

Cena egzemplarza rs. 1 k. 20, pocztą rs. 1 k. 30. Do nabycia u Wydawcy i we wszystkich księgarniach.

Treść: Kobieta i miłość w lirykach El-go. (Szkic estetyczno-literacki), przez S. Ostrowskiego. — Kazimierz Gliński Krzywda. Powieść (dokończenie). — Z salonów artystycznych, przez Jerzego Orwicza. — Niedola. Obrazek (dalszy ciąg). — Z historii miliardów, przez M. Świdarską.

Dodatek obejmuje: *Tahar*, nowella Pawła Dys. Przekład Bronisławy Kowalskiej — Przegląd mód. 37 wzorów i robót z opisem. Sekreta gospodarskie. — Dyspozycja obiadu.

Warszawa. — W Drukarni i Litografii Tow. S. Orgelbranda Synów, Krakow. — Przedmieście № 66. Redaktor odpowiedzialny Michał Glücksberg.

Дозволено Цензурою. — Варшава, 14 Іюля 1899 г.



Nr 3. Kostium spacerowy.

Poduszcзка do szpilek na tualetę.

Rycina Nr 18 w Bl. Nr 29. (Deseń pierwsza strona tablicy fig. 65).

Sliczna poduszcзка z jasno-zielonego pluszu, materii ciemniejszej i atlasowej wstawki. Środek poduszcзки z pluszu, haftowany wedle fig. 65 w formie kwiata. Bufka z ciemniejszej materii okraża całą poduszczkę, ozdobioną z dwóch stron kokardami z atlasowej, zielonej wstawki. Wielkość poduszcзки 14 ct.

Serweta na stół.

Rycina Nr 19 i 21 w Bl. Nr 19. (Deseń pierwsza strona tablicy fig. 61—63).

Bardzo łatwą robotą zaleca się serweta, ładnie i bogato ozdabiająca stół gościnnego pokoju. Na podstawie z ciemno-zielonego, ciężkiego rypsu, wycina się wiadomy deseń, podkłada nieco jaśniejszym aksamitem i haftuje się złotym jedwabiem. Naprzód należy zrobić deseń środkowy, a następnie szlak naokoło idący wedle fig. 61 i 62.

Część haftu do serwety.

Rycina Nr 21 w Bl. Nr 19.

Należy wedle tego wzoru wycinać ryps, podkładać aksamit i obhaftowywać kordonkiem.

Haftowana serweta.

Rycina Nr 22. (Deseń pierwsza strona tablicy fig. 64).

Denko robi się z wełnianego materiału, dowolnie wybranego koloru i obszywa sznurem jedwabnym. Następnie podług wzoru fig. 64 hiszpańskim ścięciem haftuje się ażurowy szlak, prześlicznie zdobiący serwetkę.

Suknia z gładkiego i haftowanego batystu.

Rycina Nr 1.

Bardzo oryginalnie wygląda suknia z jasno-niebieskiego batystu, przybrana wstawką i koronką gipiurową. Spódniczka składa się z dwóch falban i gładkiego batystu, obszytych wstawką i koronką gipiurową. Stanik z tiuniką przodu otwartą, z fantazyjnego batystu, przybrane również gipiurową wstawką i koronką. Staniczek z przodu głęboko wycięty, podłożony gładkim batysem w zakładeczki, stojący wysoki kołnierzyk w zakładeczki. Jedwabny pasek z metalową klamrą zakończy suknię.

Suknia i kapelusz dla panienci od 15—16 lat.

Rycina Nr 2.

Jest bardzo do twarzy dla młodej panienci sukienka z różowego muślinu (de lin), ubrana czarnymi aksamitkami. Spódniczka gładka, naszyta aksamitkami. Staniczek z karczkiem, naszytym aksamitkami, ubrany u góry falbaną i rozetkami z aksamitki. W pasie przepasany szarfą z tego samego materiału, obszytą aksamitkami.

Biała pasterka, przybrana białą gazą, stanowi całość ubrania.

Kostium spacerowy.

Rycina Nr 3.

Na powyższy kostium najodpowiedniejszym materiałem jest wełna „panama.“ Spódniczka z jedwabnej podszewki, obszyta u dołu materiałem w zakładeczki. Długa tiunika w formie spódniczki, u dołu wycięta w zęby i naszyta jedwabnymi pliskami. Krótki żakiecik nie sięgający pasa, przybrany jedwabnymi pliskami i guzikami. Bluzka z białej piki, naszyta z przodu pliskami z ponsowej materii. Stojący kołnierzyk i pasek z tejże materii. Kapelusz słomkowy, opasany białą jedwabną gazą, ubrany ponsowymi goździkami i pięknym motylem z przodu „bridy“ z białej gazy.



Nr 4. Letni kapelusz.



Nr 1. Suknia z gładkiego i fantazyjnego batystu.

Nr 2. Suknia i kapelusz dla panienci od 15—16 lat.



Letni kapelusz.

Rycina Nr 4.

Oryginalny kapelusz z czarnej, cienkiej słomki, przybrany girlandą z hortensyi do cieniu. Kwiaty powinny przykrywać prawie całe wierzchnie rondo. Z boku wysoko upięta kokarda z lilla rypsowej wstążki z pękiem hortensyi zakończy ubranie. Z tyłu podpięty herbatnikami różami bez liści.

Ubranie z bluzką dla chłopczyka od 9—10 lat.

Rycina Nr 5.

Eleganckie i praktyczne ubranko: Szerokie spodniki z niebieskiego szewiotu, przyszyte do staniczka z podszewki. Bluzka z wełny (tennis), w białe i niebieskie paski, na przodzie zapinana. Kołnierzyk wykładany, wyszyty wokół w zakładeczki; rękawy szerokie przy rękę tworzą mankiety w zakładeczki. Bluzka na guziki przypięta do spodenek. Zakończenie ubrania stanowi pasek sportowy, z niebieskiej gumy, z metalową klamrą i skórzaną kieszonką i krawat w zakładeczki.

Sukienka „empire“ dla dziewczynki od 5—6 lat.

Rycina Nr 6.

Prosty fason sukieneczki, dla małej dziewczynki, jest bardzo wygodny i odpowiedni. Sukienka z płótna niewarowego, przybrana ponsową jedwabną sznelką. Spódniczka z przodu i z tyłu ułożona w trzy kontrafałdy i wszyta w karczek. Kołnierz marynarski z tyłu wycięty w ząb, naszyty ponsową sznelką. Rękawki szerokie, przy rękę ułożone i wszyte w mankieciki.

Sukienka z żakiecikiem i kapelusz, dla dziewczynki od 10—11 lat.

Rycina Nr 7.

Slicznie wygląda takie ubranie, z białej piki w ponsowe kropki. Spódniczka naszyta trzema pliskami z ponsowe-



Nr 11. Letni kapelusz dla dziewczynki od 6—7 lat.



Nr 10. Letnia sukienka dla dziewczynki od 6—7 lat.

mi wypustkami. Żakiecik z ranwersami, na przodzie otwarty; do tego biała batystowa bluzka z haftowanym kołnierzem. Krawat i pasek z ponsowej materyi. Duży kapelusz z białej słomki, z podwiniętym rondem, ubrany białą wstążką.

Sukienka z żakiecikiem dla panienci od 11—12 lat i kapelusz.

Rycina Nr 8.

Sukienka z niebieskiego szewiotu. Spódniczka wokół plisowana. Żakiecik gładki, z przodu otwarty, przybrany dwoma rzędami guzików. Bluzka z białej piki, z dużym, wykładanym kołnierzem, ubrana plisowanymi falbankami. Pasek z niebieskiej, rypsowej wstążki.

Biała, florencka pasterka, przybrana wstążką w niebieską kratę i pierwiosnkami (primulkami).

Nr 5. Ubranie z bluzką dla chłopczyka od 9 — 10 lat.

Nr 6. Sukienka „empire“ dla dziewczynki od 5 — 6 lat.

Nr 7. Sukienka z żakiecikiem i kapelusz, dla dziewczynki od 10 — 11 lat.

Nr 8. Sukienka z żakiecikiem i kapelusz dla panienci od 11—12 lat.

Nr 9. Sukienka batystowa dla dziewczynki od 12—13 lat.

Sukienka batystowa dla dziewczynki od 12—13 lat.

Rycina Nr 9.

Piękną ozdobą dla dziewczynki jest batystowa sukienka. Spódniczka u dołu naszyta haftowaną wstawką i szlaczkiem. Bluzka fałdowana, wszyta w kwadratowy karczek z haftowanych wstawek i przybrana haftowaną falbaną; falbana naszyta wstawką i zakładeczkami. Rękawki do łokcia, ozdobione zakładeczkami i haftem. Bluzka z tyłu zapinana, w pasie połączona z spódniczką paskiem haftowanym.

Letnia sukienka dla dziewczynki od 6—7 lat.

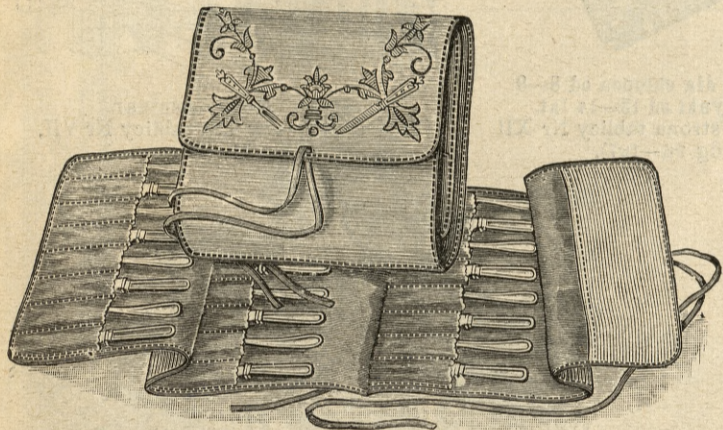
Rycina Nr 10

Bardzo wdzięcznie wygląda sukienka z piki w niebieską kratkę. Spódniczka gładka. Bluzka wycięta okrągło, zakończona wykładanym, wązkim kołnierzykiem i dwiema falbankami z haftowanego batystu. Zamiast rękawów krótkie bufki. Bluzka w pasie połączona z spódniczką i przewiązana białą, jedwabną szarfą.

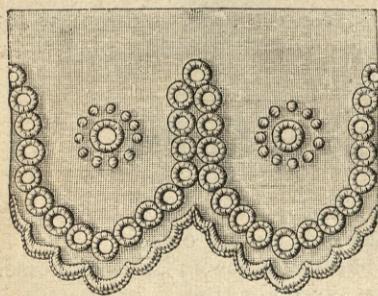
Letni kapelusz dla dziewczynki od 6—7 lat.

Rycina Nr 11.

Oryginalny, modny fason kapelusza w kształcie dzwona przedstawia bardzo praktyczną nowość, ochrania on znakomicie od słońca głowę i szyję dziecka. Główka kapelu-



Nr 15. Taszетка (woreczek) do noży i widelców.
(Wzór odwr. str. tabl. fig. 123).



Nr 14. Część haftu do majtek ryc. Nr 36.

sza zrobiona jest wewnątrz. Powyższa rycina przedstawia właśnie taki kapelusz z białej, ząbkowanej słomki. Ubranie stanowi suta kokarda z szarfami z białej gazy i dwa kiście zielonego owsa, przełożone przez węzeł kokardy.

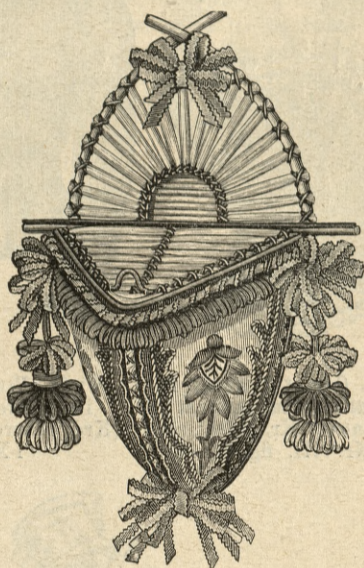
Koszyczek haftowany na chusteczki.

Rycina Nr 12. (Wzór odwr. strona tablicy fig. 124).

Bardzo strojnie wygląda koszyczek, zrobiony z mocnej, prostej słomki



Nr 16. Serwetka do przykrycia serwisu.
(Wzór odwrotna strona tablicy fig. 120—122).



Nr 12. Koszyczek haftowany na chusteczki.
(Wzór odwr. str. tabl. fig. 124).

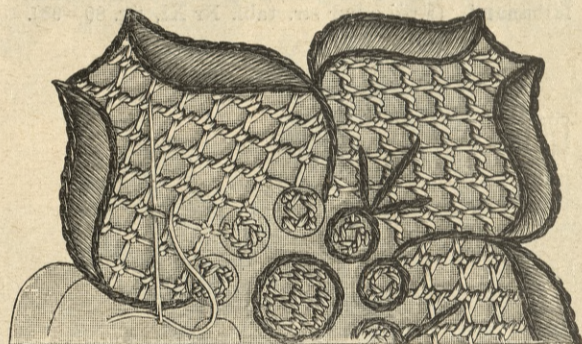
i lakierowanej na zielono trzciny. Forma koszyczka kroi się z kremowego atlasu wedle fig. 121 i haftuje filozelą zieloną do cieniu; ząbkowane liście wyszywa się oliwkową filozelą. W środku zaś, na połączeniu dwóch boków wyszywa się dużym ścięciem przedstawiony deseń czarnym jedwabiem. Denko, przykrywające koszyczek, zrobione jest z trzciny i słomy i ugarnirowane jedwabną, sznelkową frendzelką. Boki koszyczka zakończone kwastami z jedwabnej sznelki. Oprócz tego przyozdabiają jeszcze koszyczek dwie kokardy — jedna u góry, druga u dołu, z zielonej sznelki.

Taszетка (woreczek) do noży i widelców.

Rycina Nr 15. (Deseń odwr. str. tabl. fig. 123).

Taszetkę taką robi się z niewarowego rypsu i ponsowej flaneli, pomieszcza ona w sobie dwa nacięcia noży i tyleż widelców. Naprzód kroi się z wierzchniego materyału i z podszewki części (woreczka) taszetki 54 cent. długie, 28 cent. szer., następnie jeszcze jedną część takiej samej szerokości, długą zaś 46 cent. i zaokrągla się ją z jednego końca. Na wierzchniej stronie tej właśnie części rysuje się wzór wedle fig. 123 i haftuje się ponsowym jedwabiem. Potem na wewnętrznej stronie taszetki przyszywa się część z flaneli i przestębnowya osobne przegródki na każdy nóż i widlec. Wreszcie wierzch i spód zszywa się razem i na haftowanej stronie przyczepia się jedwabne tasiemki.

Serwetki do przykrycia serwisu.

Rycina Nr 16 i 13. (Wzór odwr. strona tablicy fig. 120—122).
Chcąc zrobić powyższą serwetkę, należy wziąć

Nr 13. Wzór haftu do ryc. Nr 16.
(Wielkość oryginalna).



a.
Szkic do ryciny Nr 17.

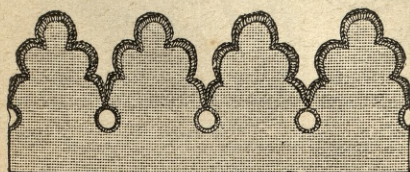


kwadratowy kawałek angielskiego płótna, szerokości 83 cent., dług. 102 cent. i waznucho zaobrabić. Potem trzeba wyhaftować szlak wedle fig. 120; następnie haftuje się środkową dolną gałązkę podług fig. 121 i boczne gałązki, oraz środkową górną gałązkę podług fig. 122. Do haftu używa się przędze: białą, żółtą, jasno-zieloną, ciemno-zieloną, oliwkową i ciemno-brązową.

Strojna bluzka, kapelusz z piórami.

Rycina Nr 17.

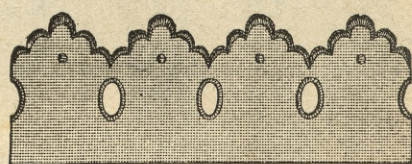
Strojna bluzka z białej „taffetas“



Nr 19. Część haftu do koszuli.

Nr 17. Strojna bluzka i kapelusz z piórami (patrz szkic a.).

Nr 18. Suknia z bluzkowym stanikiem z czarnego „taffetas“, peleryna i kapelusz.



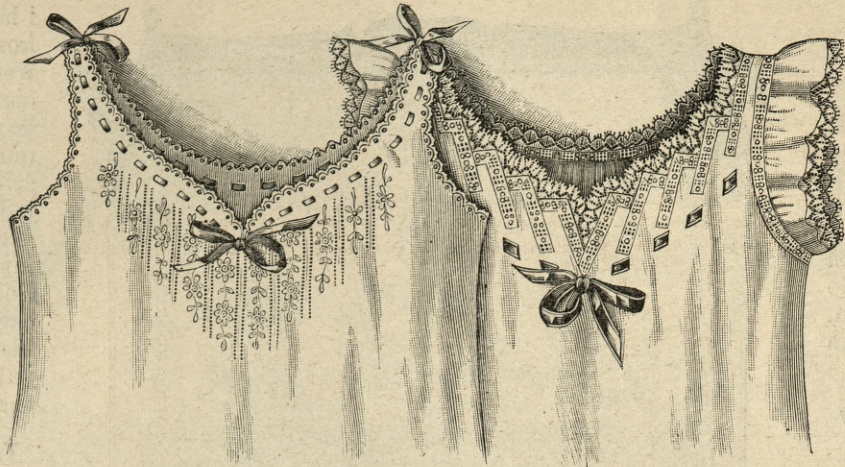
Nr 20. Część haftu do koszuli.

i haftowanej gazy. Przody i plecy poprzecznie plisowane; z tyłu poprzeczne plisowanie łączy wstawka z haftowanej gazy, idąca przez środek pleców. Karczerek zrobiony z takiej samej gazy. Kamizelka na przodzie i stojący kołnierzyk z gazy plisowanej i koronki. Przody zakończone białą, dżetową torsadką. Rękawy pokryte gazą, przy rękę zakończone falbanką z gazy. Epoletki na rękawach plisowane z taffetas, Pasek z taffetas z metalową klamrą. Białe, bastowy kapelus, ubrany piórami, rondo podpięte różowemi różami.

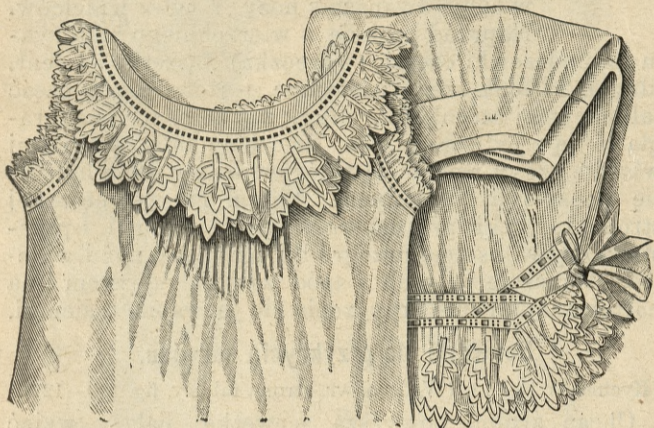
Suknia z bluzkowym stanikiem z czarnej taffetas, peleryna i kapelus.

Rycina Nr 18.

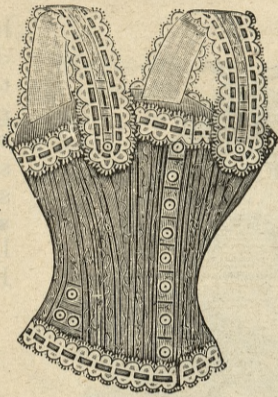
Bardzo strojnie wygląda suknia z czarnej taffetas, zrobiona tym faso-



Nr 24 i 25. Modne koszule z haftem i nawleczeniem.
(do ryciny Nr 20 w Bluszu Nr 29 i ryciny Nr 20 w numerze bieżącym.
(Krój i opis pierwsza strona tablicy Nr VI, fig. 46—50).



Nr 21 i 22. Koszula i majtki, przybrane haftowanemi falbanami (Krój odwr. str. tabl. Nr XI, fig. 89—95).



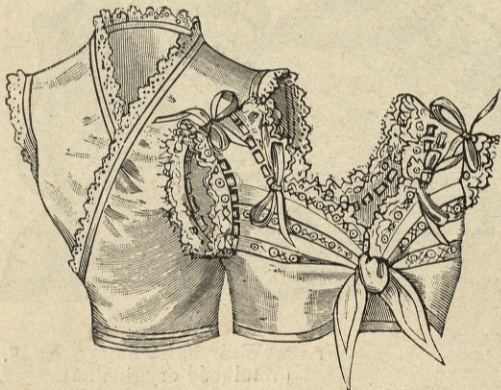
Nr 28. Gorset domowy ze sznureczkami zamiast fiszbinów. (Kr. pierw. str. tab. Nr VIII, fig. 54—60).



Nr 26. Bluzki: dla chłopca od 8—9 i dla dziewczynki od 13—14 lat.
(Krój odwrotna strona tablicy Nr XII i XIII, fig. 96—107).



Nr 23. Modny peniuar.
(Krój i opis pierw. str. tablicy Nr VII, fig. 51—53).



Nr 29 i 30. Modne staniczki (cache corset).
(Krój odwr. str. tabl. Nr XV, fig. 111—113).

nem. Spódniczka gładka z szeroką falbaną, zakończoną u dołu i u góry riuszą z czarnej, jedwabnej gazy. Staniczek na przodzie od ramion plisowany, przy brzegach wycięty w zęby i podłożony marszczonemi riuszkami z gazy i plisowanemi falbankami. Sam środek stanika, przykrywający zapięcie, ułożony z taffetas. Plecy gładkie. Kołnierzyk stojący, ozdobiony gazą.

Przepisy gospodarskie.

ZUPA ZE ŚWIEŻYCH OGÓRKÓW.

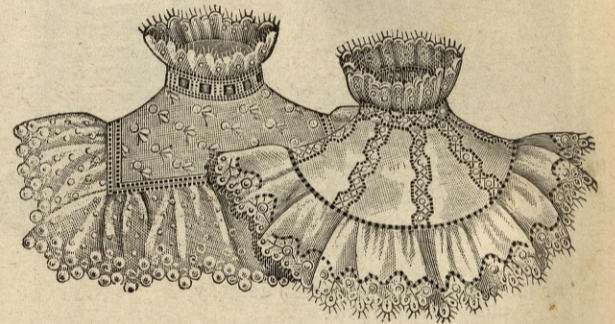
Pięć ogórków obrać ze skórki, pokrajać w plasterki i udusić w rondlu z łyżką młodego ma-



Nr 33 i 34. Nocny kaftanik i nocna koszula.
(Krój i opis pierw. str. tabl. Nr V, fig. 33—45).



Nr 35. Suknia pikowa z zakiecikiem i zefirową bluzką.
(Krój odwrotna strona tablicy Nr X, fig. 74—88).



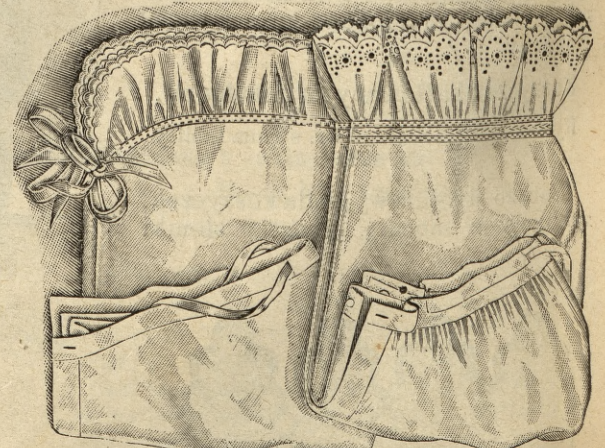
Nr 31 i 32. Kołnierze dla małych dziewczynek.
(Krój odwr. str. tabl. Nr XVI, fig. 114 i 115).

mieścić wszystko doskonale, włożyć w formę masłem wysmarowaną i w wolny piec wstawić na pół godziny.

Obiad na Niedzielę.

1. Chłodnik.
2. Paszteciki w kruchem cieście.
3. Kotlety baranie z sosem „à la Soubise.”
4. Pomidory faszerowane.
5. Kurczęta z kompotem.
6. Suflet z malin.

UWAGA. Tablica krojów, objaśniająca wzory ubiorów i robót w dzisiejszym numerze, dołączoną była do zeszłego numeru „Bluszcza.”



Nr 36 i 37. Majtki z haftowanemi falbanami.
(Krój i opis pierw. str. tabl. Nr III, fig. 21—23).